

Maria Rodziewiczówna

Farsa panny Heni

Redakcja "Gazety" znajdowała się w ciemnym, brudnym, okopconym pokoju od dziedzińca, na parterze trzypiętrowej kamienicy. Pokój ten dzielił się na dwa rodzajem stałego parawanu, okratowanego i oszklonego. Wprost drzwi było okienko zakratowane, w głębi, również w tym przepierzeniu, drzwiczki prowadzące do sanktuarium dziennika.

Przestrzeń od drzwi wchodowych zajmowała długa ławka pod ścianą, stolik z brudnym kałamarzem, wzdłuż parawanu od ściany do ściany ciągnęła się półka wytarta łokciami interesantów, ozdobiona szeregiem skarbonek. W biurze nad okienkiem palił się gaz przez pierwszą część dnia, do nory tej bowiem słońce wstydziło się zajrzeć; goście, roznosiciele, członkowie redakcji, listonosze, wszyscy wspólnymi siłami robili, co mogli, by ten przybytek narodowej inteligencji i oświaty uczynić nieznośnym dla pięciu zmysłów w komplecie. Błoto utworzyło skorupę na nigdy nie mytej podłodze, kopeć z lamp powlekał ściany żółtoszarą powłoką, dym cygar przysłaniał wszystko, zabijał oddech, rzucanie i zgrzyt drzwi z blokiem rozstrajały nerwy.

Pewnego wieczora, w same wiosenne roztopy, zimne, dżdżyste i czarne, drzwi wypoczywały od pięciu minut, czekając na dalsze szamotanie.

Sekretarz dziennika siedział z piórem w zębach nad stosem świeżo przyniesionej korespondencji i gatunkował mozolnie tę różnorodną mieszaninę żądań, doniesień, artykułów, skarg itd.

Przez wpółotwarte drzwi dalszych pokojów dochodził głuchy odgłos drukarni i gwizdanie roznosicieli, przez ścianę sapały pompy od sąsiednich parowych łaźni, na podwórzu wygrywał kataryniarz, deszcz pluskał, huczało miasto, w rękach sekretarza szeleścił papier, zresztą nic nie przerywało ciszy biura.

Ktoś targnął drzwi słabo, delikatnie, potem z sił całych, widocznie kobiecych, i w otworze stanęła drobna, nikła postać z ociekającym parasolem, w eleganckim futerku i sobolowej czapeczce. Po krótkiej walce z blokiem zdobyła szturmem drzwi, rzuciła parasol na ławkę i wsunęła główkę w okienko

przepierzenia.

- Wujaszku! - zawołał cienki, srebrzysty głosik.

Sekretarz podskoczył na krzesło, spojrział w tamtą stronę i wstał automatycznie.

- Czym mogę służyć? - rzucił zwykłe pytanie.

- Niech mi pan tu wujaszka sprowadzi - powtórzył głosik spod gęstej woalki.

- Co takiego?

- Wujaszka! No, wszak pan wie, redaktor "Gazety" nosi ten tytuł dla mnie.

- Zaraz!

Sekretarza nie zaraził wesoły ton odpowiedzi. Chmurnie przystąpił do elektrycznego dzwonka w ścianie, przycisnął go trzy razy i wrócił na swoje miejsce.

Dama obejrzała szybko ściany redakcji, zakrztusiła się dymem, a uspokoivszy rozdrażnione gardło, zaczęła nucić półgłosem, drobną rączką, obciągniętą w jelonkową rękawiczkę, wybijając lekko takt po pierwszej skarbonce z brzegu.

Redaktor wszedł. Był to człowiek średnich lat, podobny do biustów Szekspira, z ostro zakończoną brodą.

- A co tam znowu? - spytał z dźwiękiem niecierpliwości w głosie.

- Interes - odparł lakonicznie sekretarz, ruchem głowy wskazując kobietę.

- To ja, wujaszku - ozwała się przechylając głowę przez okienko i wyciągając rękę.

- Henrysia? Co ty tu robisz, trzpiocie?

Redaktor uściśnął podaną sobie dłoń i uśmiechnął się zapominając o niechęci, z jaką wszedł.

- Przyszłam z prośbą do wujaszka.

- Na przykład!

- Wujaszku, proszę mi znaleźć jakiego męża.

- Co?!

- No, męża, małżonka, un mari, einen Mann, a husband, jak wuj chce.

- Dajże pokój. Nie mam czasu żartować z tobą. Czego chcesz?

- Powiedziałam już: męża!

- Coś ty? w malignie? Szukaj go sama. Dość się znajdzie, sądzę amatorów na twój ładny pyszczek, bez mojej pomocy.

- Na tym właśnie polega cały interes. Mój mąż nie powinien mnie chcieć; niech mi wujaszek takiego wynajdzie. Może być ślepy, kulawy, niemy, garbaty, byle się zgodził na ślub natychmiast!

- Co to za heca! Sfiksowałaś do reszty!

- Nie ja, cóż znowu! ale mój opiekun i stryj jednocześnie.

- Nic nie rozumiem.

- Ach, jaki wujaszek niedomyślny! Mam wszakże głos cudowny, dyrektor konserwatorium przepowiada mi sławę europejską, ale nie tu, w tej mieścinie.

Trzeba mi w świat, do Paryża, Londynu, gue sais-je! (*fr. wiem o tym.*) Byłam pewna, że na pierwsze słowa stryj z wdzięcznością wyśle mnie, gdzie pieprz rośnie. Robiłam, co mogłam, by na to zasłużyć: przewracałam i łamałam meble, tłukłam talerze, wyrzucałam lub darłam nie doczytaną gazetę, uścielałam podłogę łupinami od orzechów. Nic nie pomogło. Ach, ci emeryci!

- Bardzo szanowni ludzie, moja droga! - przerwał redaktor. - Cóż dalej? Stryj ci nie pozwolił jechać?

- Owszem, ale pod warunkiem, bym za męża poszła. Wówczas umywa sobie ręce od moich szaleństw, jak je raczy nazywać, wypłaca mi mój fundusz... to nie żarty, wujaszku, trzydzieści tysięcy rubli, i nie chce o mnie słyszeć więcej.

- No, zatem rzecz skończona. Wychodź za męża. Każdy cię weźmie, z posagiem szczególnie.

- Ależ ja nie chcę wychodzić za męża! - zawołała z płaczem prawie. - Że też wuj tego nie rozumie! Ja chcę swobody, ale to zupełnej; ja nie chcę tego nieodstępnego towarzysza, ja chcę zostać kapłanką sztuki tylko.

- Cóż ja w tej sprawie mogę poradzić?

- Niech mi wuj da męża, który by, wzięwszy ślub, poszedł sobie w prawo, a ja w lewo; który by się piśmiennie zobowiązał żadnych praw do mnie nie rościć, ani do moich funduszków, ani do niczego, i nigdy nawet wspomnieć, że jest niby moim panem; słowem mąż tylko na czas ślubu! Zapłacę mu za to, co zechce; nazajutrz gotowam się o rozwód wystarać... wszystko, wszystko! Wujaszku, tyle tu osób bywa, może się kto taki znajdzie. Niech wuj pomyśli.

- Et, bredzisz! - oburzył się wreszcie redaktor. - Za kogo mnie masz? Za wariata podobnego tobie? Rozumny projekt, nie ma co mówić, godzien zbiega od bonifratrów. Na księżycu szukaj głupca, co by na to się zgodził!... A potem rozwód... Tfy, żebyś choć przeczytała powody do rozwodu, kiedy o nim pleciesz. Ślicznie! Moje imię w takiej awanturze, redaktor "Gazety" wmieszany w skandal...

- Panie redaktorze, proszę pana, numer wrócił z cenzury, trzeba zmieniać - ozwał się za drzwiami gruby głos.

- Ot i masz, a ja tu czas tracę! Bądź zdrowa, Heniu. Dobra z ciebie dziewczyna, ale ten twój dyrektor konserwatorium przewrócił ci w głowie.

- Wujaszku mój drogi! - zawołała prosząco - ja tu przyjdę jutro! Proszę się namyślić. Los mój od tego zależy. Ach, ci emeryci!

Już była za drzwiami i na ulicy. Deszcz padał jak z wiadra, wicher wydzierał z rąk parasol, drobne nóżki tonęły w śliskim błocie. Biegła tak szybko, że nie spostrzegła, iż ktoś szedł za nią w ślad, z widocznym postanowieniem towarzyszenia do końca.

Zwracała się w prawo i lewo - mężczyzna zwracał się także, zaglądała do wystaw - czekał, choć nie miał parasola i deszcz strumieniami oblewał jego wytarte palto; weszła w bramę - i on; wbiegła na schody - szedł za nią; stanęła na przęśle - i on się zatrzymał.

Teraz dopiero spostrzegła natrętnego towarzysza; usunęła się sądząc, że

pójdzie na drugie piętro - nie ruszył się.

- Pan szuka pana Dobrzyńskiego? - Nie, pani, panny Dobrzyńskiej!

- Mnie?

- Tak, pani.

- Czego pan potrzebuje?

- Mam interes do pani.

- Jaki? - spytała ostro.

- W sprawie pani małżeństwa, o którym pani mówiła przed chwilą w redakcji "Gazety".

- Ach, co? Wujaszek pana tu przysłał do mnie? - zawołała z żywością dziecinną. - Znalazł kogo?

- Nie, pani, przychodzę sam jako kandydat...

- Pan? Kto pan taki?

- Jeżeli pani pozwoli wejść do mieszkania, rozmówimy się dokładniej. Tu, na schodach...

- Ach, prawda. Gdzież to klucz? Aa, jest. Niech pan tu wejdzie i zaczeka chwilę, o tutaj. Zaraz lampę zapalę. Może pan bardzo brzydki?

- Zdaje mi się, że to panią nic nie obchodzi w okolicznościach wymaganych - odparł spokojnie i chłodno, jak wszystko, co dotąd mówił.

Panna Henryka Dobrzyńska, nie dosłuchawszy odpowiedzi, nie pamiętając zapytania, zajęła się poszukiwaniem lampy i zapalek. Gość stał nieporuszony koło drzwi, na wskazanym miejscu.

- Jakże się pan dowiedział o moim żądaniu? - spytała po chwili milczenia, przerywając nucenie jakiejś piosenki.

- Słyszałem rozmowę. Jestem sekretarzem redakcji.

Lampa była wreszcie zapalona. Sekretarz spostrzegł, że stał w eleganckim miniaturowym saloniku, że miał dywan pod nogami, pianino przed sobą, w powietrzu czuł ów nieokreślony delikatny zapach, właściwy buduarom uroczych kobiet.

Panna Henryka wyszła do drugiego pokoju, rzucając:

- Pardon! Zaraz służę!

Zdjął palto i stanął u stołu.

Był to chłopak wysoki, bardzo szczupły i bardzo młody. Lekki cień pierwszego zarostu osypał mu ledwie policzki, twarz była dość miła, gdyby nie wyraz bezmiernej powagi czy zastygłego bólu, co zeń zrobił maskę lodową, bez życia; oczy, wsunięte głęboko pod czołem, patrzyły posepnie i wyglądały bardzo zmęczone. Usta miał czarne, jakby spalone gorączką, uśmiech znały rzadko; ciągle ściągnięte brwi przerzynały czoło bruzdą głęboką, co wszystko sprawiało, że człowiek ten, dopiero od roku pełnoletni, wyglądał raczej na trzydziestoletniego mężczyznę.

Patrzył przed siebie w próżnię, gdy dziewczeczka weszła na powrót. Stanęła przed nim i obejrzała ciekawie.

Nie zmrużył oka ani się wzruszył, choć był to bardzo obiecujący początek -

ta młoda, siedemnastoletnia postać, jeszcze niezgrabna, jeszcze ostra, ale wysoka i smukła. Twarzyczka drobna, o cienkich, jak na kamei wyrżniętych rysach, teraz miała jeszcze zbytnią okrągłość dziecka, swawolę w oczach, pustotę na ustach, ślepą odwagę i zapal na czole. Czarne, bujne włosy i ciemna płeć robiły z niej Cyganke.

Popatrzyła chwilę na swego przyszłego małżonka, spoważniała i ukłoniła się lekko.

- Z kim mam przyjemność? - ozwała się etykietalnie.

- Tytus Chojecki - rzekł krótko.

- Zatem, przystępując do interesu, pan się chce żenić ze mną wedle podanych warunków.

- Tak, pani.

- Cóż pan żąda w zamian?

Twarz Chojeckiego nabiegła krwią; z niesłychanym wysiłkiem wymówił po chwili:

- Pieniędzy.

Panienka zrobiła grymas niezadowolenia. Może spodziewała się bardziej romantycznej zapłaty.

- Tylko zapłaty? - rzekła już zimno zupełnie. - I obowiązuje się pan zapomnieć nawet o moim istnieniu po ślubie?

- Tak, pani.

- Jakiej sumy żąda pan?

- Pięciu tysięcy rubli - odparł głucho.

Zamyśliła się nie patrząc na niego.

- Po ślubie? - spytała krótko.

- Kiedy pani wola. Dla bezpieczeństwa, żebym wziąwszy pieniądze nie uciekł, lepiej będzie po skończonej ceremonii.

- Ależ nie o tym myślałam! - zawołała żywo. - Jeżeli tylko otrzymam pierwaj mój kapitał od stryja, wypłacę natychmiast. Jaki pan podejrzliwy! Za karę będzie pan musiał zająć się wszystkimi formalnościami, bo ja się na tym nie znam.

- I owszem, jeżeli się pani zgodzi. Dla bezpieczeństwa powinna pani pierwaj zasięgnąć o mnie bliższych wiadomości.

- A to po co? Nic mi nie zależy na tym, kim pan jest. Dziś ślub, jutro jadę za granicę, i nie spotkamy się może nigdy. Powinien pan tylko złożyć wizytę memu stryjowi.

- Jeżeli sobie pani tego życzy, i owszem. Ale gdy stryj pani się spyta, dlaczego się żenię?

- Powie pan, z miłości, cóż to szkodzi?

- Może nic nie szkodzi, tylko że ja tego nie powiem.

- Dlaczego?

- Nie umiem kłamać.

- Vous etes gentil! (*fr. Jaki pan uprzejmy!*) Wielu by chciało być na pana miejscu i powiedziałyby to z ochotą.

Wzruszył ramionami.

- Wierzę - odparł obojętnie - ale pani takich nie chce.

- Nie, nie, nie! Niech i tak będzie. Nic mi nie zależy na pańskiej miłości.

- Wzajemnie - odparł wstając. - Powiedziałem już wszystko. Jeżeli pani nie znajdzie nikogo dogodniejszego, proszę mnie zawiadomić w redakcji o stanowczej decyzji.

- Dobrze, dobrze, jestem zupełnie zdecydowana. Jutro przyjdę sama do wuja.

Zegar ścienny wybił dziesiątą. Chojecki skłonił się i wyszedł, a jednocześnie za ścianą saloniku dało się słyszeć niecierpliwe kołatanie.

Dzieweczka zamyślona zamknęła drzwi za gościem.

- Ach, ci emeryci! - westchnęła.

Tam za ścianą czekała ją bura od stryja, że dotąd nie przyszła na wieczerzę.

- Ten mój przyszły - szepnęła, nie dbając na coraz głośniejsze stukanie - wygląda trochę na Sinobrodego en herbe! (*fr. przyszły, niedojrzały.*) Trzeba jednak będzie wuja się spytać.

Usiadła do pianina i wzięła parę hucznych akordów. Kołatanie nie ustawało.

- Ach, ci emeryci! - wykrzyknęła zwykłą skargę. - No, urządzę ja wam sztuczkę! Poczekajcie, dowiecie się dopiero o moim małżeństwie po ślubie! Toż to będą miny! Pyszna farsa!

Nucąc wybiegła. Dziecko to, przez nikogo nie kierowane, gotowe było dla farsy wziąć imię i nazwisko zbiegłego kryminalisty czy wytrawnego złodzieja. W tej cygańskiej głowie myśli były też dzikim, koczowniczym stadem. Gdy się uwolniła od gderania starego, i, zamknawszy się w swoim pokoju, pozwoliła stadu temu hulać, małżeństwo znikło już zupełnie z pamięci. Myślała o swym głosie, o teatralnej sławie, o gazeciarskich pochwałach, może o roju kochanków, żebrzących uśmiechu lub spojrzenia primadonny. Ranek ją zastał na wpół leżącą na kanapie, z odrzuconą na poręcz główką, z przymkniętymi oczyma, rozegzaltowaną owym widzeniem przyszłości.

Wiosenny promień słońca spłoszył te widzenia: porwała się na nogi, obejrzała wkoło, przypomniała wieczorną wizytę, poskoczyła do swego biureczka i zażarcie poczęła szperać w szufladce.

Po chwili spośród poszarpanych zeszytów, połamanych wachlarzy, pomiętych koronek, sztucznych kwiatów, urywków nut muzycznych, listów i starych rękawiczek dobytej wielki arkusz opatrzony sądową pieczęcią.

- Szczęściem, że tego dotąd nie podarto. Ledwie ją u niego wyprosiła, jakbym przeczuwała tę chwilę. Podobno potrzebne to do ślubu; zaniósę ją temu, jakże on się nazywa... Sosnowski, Dembicki... Mniejsza zresztą, znajdę go w redakcji. Następnie trzeba sobie pomyśleć. Potrzebuję sukni, welonu, kwiatów, tysiąca rzeczy. Niech stryj płaci za swój kaprys, co mi tam!... Śliczny dzień. Idę do Józi i Maryni, zaproszę je na drużki pod sekretem, o świadków niech się mój przyszły mąż stara... Ale, Boże, jam mu nie powiedziała, że to ma być sekret

na figiel stryjowi i wujaszкови. Gotów doprawdy opowiedzieć rzecz całą w redakcji. Ach, ach, leczę. Efekt przypadnie. Trzeba go ostrzec.

I pobiegła skacząc z metryką w rękę, uszczęśliwiona z owego figla; zamówiła Józję i Marynię, które długo pojąć nie mogły tej szczególnej kombinacji, ale zgodziły się na wszystko, jako nieodrodne przyjaciółki postrzelonej dziewczyny; wpadła do magazynu, zamówiła ślubną suknię, spotkała swego dyrektora i powitała wieścią, że za trzy tygodnie żegna na zawsze miasto; odurzyła starego kompletnie i nic nie wyjaśnwszy pobiegła dalej, ciesząc się z wiosennego dnia, z załatwionych interesów, z farsy, i z trelem na ustach już po południu wpadła do redakcji.

Na progu przypomniała sobie za ledwie o tajemnicy; zacisnęła rozchylone do śmiechu usteczka, wsunęła metrykę w mufkę i poważnie przystąpiła do okienka.

Sekretarz rozmawiał z jakimś szpakowatym jegomościem i nawet nie spojrzął na nią. Wyglądał zgnębiony i smutny, oczy miał czerwone od bezsenności czy łez, głos głuchy, ręce, w których trzymał pióro, drżały febrycznie, konferencja ze szlachcicem trwała cały kwadrans; panna Henryka aż tupała nóżkami z niecierpliwości - sekretarz nie okazywał żadnego wrazenia. Interesant posiadał cukrownię na Podolu, szukał buchaltera i kasjera zarazem, wyliczał ze sto warunków, chciał posiadać egzemplarz nie istniejący na ziemi. Pan Tytus Chojecki cierpliwie wysłuchał i wypisał ów szereg wymagań, zliczył wyrazy, określił cenę ogłoszenia, szlachcic zapłacił, obiecał przyjść nazajutrz i z trudem wytoczył się na podwórze, mozolnie przepchnąwszy przez drzwi swą olbrzymią niedźwiedzią szubę. Para przyszłych małżonków została sama.

- Co pani rozkaże? - była wiecznie ta sama zwrotka na ustach sekretarza.

- Nie mówił pan nic wujowi? - zapytała żywo.

- Nie zapytany, nie odzywałem się pierwszy. Zresztą pani nie dała mi stanowczej odpowiedzi.

- To dobrze, to dobrze! Niech pan, broń Boże, nic nie mówi. Wie pan, urządzimy farsę; po ślubie zjawimy się z wizytą u stryja i u wuja. Wyobraź pan sobie ich miny!

Podskoczyła do góry.

- Wszak to możliwa tajemnica? - zagadnęła, zaniepokojona posepnym milczeniem towarzysza.

Pomyślał chwilę, poczerwieniał i spojrzął jej raz pierwszy w same oczy.

- Jak ja będę wyglądał w tej sprawie? Co powie wuj i stryj pani? Nazwą mnie oszustem! Nie chcę tego!

- Boże, jaki pan nudny z tymi ceregielami!... Oto moja metryka, niech pan zresztą powie, ale tylko wujowi.

- Nie, pani, to nie moja rzecz. Poproszę pana redaktora tutaj i z ust pani posłyszysz tę wiadomość. Wobec niego złożę piśmienne zaręczenie w kwestiach pani życia i funduszu, za jego wiedzą i pozwoleniem dam na zapowiedzi.

- Jak to! pan dotąd jeszcze nie dał? - wykrzyknęła z całą nielogicznością lat

siedemnastu.

Wzruszył lekko ramionami.

- Czy pan się nigdy nie śmieje? - zawołała gniewnie. - Ma pan tak okropną minę, że strach bierze. Czy pan bardzo zły z natury?

- Na co pani ta wiadomość potrzebna? Wszak nie spotyka mnie pani nigdy na swej drodze. Czy mam wezwać pana redaktora?

- Ach, zresztą niech i tak będzie. Istotnie, boję się pana.

- Niepotrzebnie - odparł powoli, patrząc w ziemię - zły nie jestem... nieszczęśliwy, to może.

Posłuszny na sygnał elektryczny redaktor zjawił się w tej chwili.

- Znowu Henrysia? - zawołał. - Cóż nowego, trzpiocie!

- Wujaszku, mam męża - odparła uśmiechnięta, podając staremu rączkę - takiego, jakiego chciałam.

- Doprawdy? Czy wedle mojej rady szukałaś go u bonifratrów? - spytał śmiejąc się.

- O, bliżej! We własnej wuja redakcji - zaśmiała się figlarnie. - Jest to pan, pan... Jakże pan się nazywa? - dodała, desperacko patrząc na przedmiot rozmowy.

- Co? - wykrzyknął, otwierając szeroko oczy, naczelnik "Gazety". - Co? on się żeni z tobą?

- Tak, wujaszku, i obiecuje zrzec się mnie piśmiennie, zaraz po ślubie.

- I ty wierzysz temu, dziecko?

Redaktor, niezdolny utrzymać powagi, parsknął śmiechem.

- Co to wszystko znaczy, Chojecki?

Sekretarz poczerwieniał znowu, oparł się o biurko, jakby sił mu brakło ustać.

- Tak, panie redaktorze - odparł stłumionym głosem - praw żadnych rościć nigdy nie będę, żoną nie nazwę tej, którą poślubię; jeśli ona tu zostanie, wyjadę, jeśli się z nią spotkam kiedy, nie przypomnę nawet znajomości. Wszak takie były wymagania?

- Czegóż chcesz w zamian? - powtórzył redaktor pytanie siostrzenicy, bystro patrząc w oczy młodego człowieka.

- Pieniędzy - odparł cicho, ale stanowczo.

Ten wyraz był odkryciem dla dziennikarza; zamyślił się, zmarszczył czoło, targnął brodę, znowu spojrzął na przyszłego oblubieńca.

- Rozumiem. Chcesz za parę tysięcy rubli sprzedać swą wolność osobistą. Pamiętaj, że przyjdzie może czas, gdy zechcesz się ożenić istotnie.

- Jestem za ubogi na to.

- Ja obiecuję wówczas postarać się o rozwód, zapłacę - wtrąciła bogata w pomysły oblubienica.

- Siedź cicho! - ofuknął gniewnie redaktor. - Nic nie rozumiesz i mieszasz się w nie swoje rzeczy. Czyś się dobrze nad tym namyślił, Chojecki?

- Tak, panie redaktorze, i jeśli pan pozwoli, gotów jestem stąd prosto pójść do kościoła i rozpocząć starania.

Redaktor milcząc przeszedł się parę razy po pokoju.

- Cóż, wujaszku, mogę wierzyć temu panu? - zawołał niecierpliwy głosik. - Tylko sekret musi być przed stryjem koniecznie! Po ślubie dopiero mu powiem i pojedę do Paryża, frrr!... nie zobaczycie mnie już nigdy!

- Oby to prędzej nastąpiło! teraz rozumiem postanowienie twego stryja. Biedny człowiek! Pilnować ciebie dzień jeden ja bym się nie podjął. Czyś się zastanowiła choć sekundę nad twoim postępkim? Cóż by było, żeby ten oto chłopak był łotr, infamis, jaki froter, lokaj czy złodziej? Ładna awantura, u licha! Temu możesz ufać, równie jak stryj będzie rad pozbyć się ciebie jak najprędzej. Róbcie sobie z nim co chcecie, ja nie istnieję w tej sprawie, słyszeć nawet o tym nie chcę; żeńcie się, róbcie niedorzeczności, tylko ty mi do redakcji nie przychodź, proszę. Robisz bezład, odrywasz ludzi od zajęć, gmatwasz interesy. Chojecki będzie zmuszony dnie całe chodzić na miasto dla tej głupiej awantury, a ty sekretarzu, wujaszku! Nieprawdaż? Tobie nic do tego.

Sapiąc, biedny wujaszek_redaktor wyrzucił żółć z siebie i wypadł z biura, zatrzaskując drzwi z łoskotem.

Bohaterowie chwili zostali sami, Henia wybuchnęła szalonym śmiechem.

- Furia wujaszek!... Myślałam, że mnie zje z futrem i bucikami. Panie Chojecki, oto metryka, oto sto rubli na koszty. Proszę, niech się pan spieszy! Na złość wszystkim weźmiemy ślub. Pan przyjdzie do mnie, jeśli tego będzie potrzeba; ja się do niczego nie mieszam, daję panu ogólną plenipotencję.

Już znikła, a on wciąż stał w jednym miejscu, patrząc zamglonymi oczyma na urzędowy papier i bankową asygnatę; był to człowiek znękany bezmiernie.

Nazajutrz wyszły zapowiedzi tej szczególnej pary w filialnym kościele, na oddalonym przedmieściu.

Stryj emeryt ich nie usłyszał, ponieważ od czasu, gdy omal go nie zaduszono przed dwudziestu laty na jakimś odpuście, ślubował Bogu uroczyście nie przestępować progu Jego domu. W parę tygodni potem, o południu, przy wyjściu z konserwatorium panna Henryka spostrzegła Chojeckiego, jak jej szukał swymi zapadłymi oczami w gronie uczennic.

- Józiu, Maniu! - zabrzmiał jej cieniutki donośny głosik – chodźcie, chodźcie, przedstawię wam mego narzeczonego.

Chwyliła za rękę dwie przyjaciółki i pociągnęła w stronę oczekującego mężczyzny. Na jej widok uchylił lekko kapelusza i podszedł parę kroków.

- Moje koleżanki i družki, pan Chojecki - recytowała szalona dziewczyna. - Czy pan chce mi do domu towarzyszyć?

- Jeżeli pani pozwoli?

- I owszem, chodźmy. Czekam od wieków na pana! Tak się gniewałam, że nic nie wiem, ale bałam się pójść po wieści do redakcji, żeby wuja nie zastać. Kiedyż ten nasz ślub?

- Jutro, pani.

- Już jutro! Słyszycie, Józiu i Maryniu? Jutro wieczorem jadę do Paryża. Ach, jaki pan dobry, że tak prędko.

Nieporuszona twarz oblubieńca pozostała obojętna na tę podziękę czy pochwałę.

Miał widocznie coś do pomówienia sam na sam ze swą przyszłą małżonką; obecność dwóch koleżanek nie wydała mu się potrzebna.

Henia odgadła to sprytem, wrodzonym kobietom; zatrzymała się na rogu ulicy.

- Tu się rozejdziemy, Józiu i Maryniu. Słyszaliście, jutro ślub, bądźcie gotowe.

- Ale gdzie? - wtrąciła jedna.

- Ale kiedy? - dodała druga.

- Gdzie? Kiedy? A prawda, że i ja nie wiem. Panie, panie...

Nieszczęsne nazwisko nie przychodziło nigdy w porę na pamięć.

- Jutro, o jedenastej rano, w kościele świętej Zofii, na przedmieściu - odparł Chojecki nie zważając na heroiczny wysiłek myśli roztrzepanej kandydatki na primadonnę.

- Słyszycie? Moje drogie, nie zawiedźcie mnie - ozwała się prosząco, ściskając ręce obu pańienek.

Szczęśliwy narzeczony otrzymał dyg pensjonarski i Józia z Marynią znikły na załomie ulicy.

- Czemu mi pan ręki nie poda? - ozwała się z dąsem.

- Nie czułem się w obowiązku, nie wezwany. Służę pani.

Wsunęła rączkę pod jego ramię, oddała mu swą tekę z nutami i szli powoli, milcząc; wreszcie on zaczął rozmowę.

- Może pani uważa za naruszenie mych zobowiązań, że czekałem na nią na ulicy? Jako wytłumaczenie podam, że zapomniałem pani adresu, a musiałem się przecież rozmówić w przeddzień ślubu.

- To dobrze. Wyglądałaś pana niecierpliwie. Zatem wszystko gotowe?

- Najzupełniej! Ślub i świadkowie zamówieni, formalności załatwione.

Kareta przybędzie, gdzie pani wskaże, ja czekać będę w kościele. Oto rachunek z powierzonych mi pieniędzy. W tych szczególnych warunkach koszty były trochę większe, jak na cichy obrządek. Ale miałem polecenie pospieszać, zrobiłem, co mogłem.

- Cóż teraz?

- Nie wiem. Czekam dalszych poleceń.

- Chodźmy do stryja.

- Jak to! Zaraz!

- A tak. Jutro pan ucieknie, jestem pewna, i nie zobaczy miny stryja. Chodź pan, to takie zabawne!

Nie wydawało mu się to zabawnym, ale poszedł posłuszny i znalazł się na tych samych schodach, gdzie ją ścigał przed niedawnym czasem.

Pociągnęła za dzwonek, jakby go zerwać chciała.

Ktoś w pantoflach, suwając nogami i pokaszlując, flegmatycznie wziął się do dzieła otwarcia podwoi.

Wiedziała dobrze, że to stryj w własnej osobie, i targała dalej dzwonek na psotę.

Zaprzestała dopiero tej czynności, gdy we drzwiach pokazała się długa, chuda, żółta twarz emeryta.

- Naturalnie, któż by, jak nie panna Henryka albo łobuz z ulicy! Rwij, rwij, niech mi wnętrzości przewrócą się z irytacji - ozwał się nosowy, gderliwy głos.

- Dobry wieczór, stryju! - odparła winowajczyni, nie słuchając dosadnego napomnienia i usuwając bez ceremonii żywą przeszkodę z drogi. - Czy stryj nie widzi, że nie jestem sama! Przyszliśmy po błogosławieństwo i życzenia. Jutro nasz ślub.

Emeryt skamieniał w progu, patrząc to na nią, to na Chojeckiego, który wszedł za przewodniczką i za jej przykładem zdejmował palto w przedpokoju.

- Co za błogosławieństwo? Jaki ślub? - wyjąknął na koniec.

- Mój, a czyżby? Ten pan podejmuje się zwolnić stryja z opiekuńczych kajdan.

- Kto? On? Być nie może! - Emeryt podskoczył ku Chojeckiemu.

- Dobrodzieju, łaskawco! Oby ci Bóg dał niebo za ten postępek miłosierny. Uratowałeś mi dziesięć lat życia! Czułem, że ta dziewczyna do grobu mię wpędzi swymi szaleństwami. Ach, lżej mi oddychać. Proszę, proszę pana do salonu. Krzyż pański bierzesz, mój dobrodzieju! Henrysiu! Nie ruszaj tego świecznika, bo zleci nam na łeb! Boże, czego ty tak skaczesz... taki przeciąg. Ależ zostaw świecznik w spokoju, mówię ci! Patrz pan, i ja to utrapienie cierpię od dnia, gdy mi szatan podszeptał wziąć ją pod opiekę, tę kozę. Ach, żebym mógł przyszłość przewidzieć, wykupiłbym się od tego honoru. Mówię panu, anioł by nie wytrzymał, nie tylko grzeszny człowiek.

- Dość tej apologii, stryju! Jutro już mnie nie będzie, jeśli mi posag wypłacisz.

- Ale, wypłacę, wypłacę. Dziś jeszcze, zaraz, jeśli mnie kto uwolni od twojej obecności. Panie, Panie! ta muzyka, a to wycie czy pisk, po całych dniach i nocach! Tu, tu mnie coś rżnie, myśli zebrać nie sposób. Morderstwo na gładkiej drodze.

Stryj chudą ręką wskazał na piersi ruchem desperackim.

- Pan dobrodziej niezdrów zapewne - wtrącił Chojecki.

- Co to niezdrów? Ja nad grobem stoję! Patrz pan, cień jestem, na śmierć się chciałem dysponować! Pan, po miesiącu, tak samo wyglądać będziesz, jeśli tego wycia i tłuczenia klawikordu nie zabronisz. To nie na ludzkie nerwy.

- Jeśli stryj chce asystować przy ślubie, to proszę być jutro u św. Zofii, o jedenastej - ozwała się panna Henryka przerywając jakieś wokalne ćwiczenia, nucone bez względu na ludzkie nerwy opiekuna.

- Co, na ślubie! o jedenastej? w nie opalonym kościele, gdzie reumatyzm i paraliż mieszkają? Nie, mój łaskawco - dodał zwracając się do Chojeckiego - oszczędź mi śmierci czy choroby. Zabieraj ją sobie choć zaraz, posag jej oddam dziś jeszcze; koszty wszystkie na siebie przyjmuję, ale być tam... nie, nie, nie!...

Nikt nie nalegał na dziwaka. Panna Henryka, zadowolona z prezentacji, po półgodzinnych żalach i skargach na nią samą mrugnięciem uwolniła swego przysłego męża.

Z westchnieniem ulgi zamykał drzwi za sobą.
Jeszcze na schodach słyszał czysty, srebrny głosik nucający arię z "Fausta":
Il y eut roi de Thule qui
jusqu'a la mort fidele, eut
en souvenir de sa belle, une
coupe en or cisele, cisele!

Melodia uparcie pozostała mu w uszach, pomimo roztargnienia, smutku i nudy, tak, że ją odnalazł po wielu i wielu latach. Nie spodziewał się schodząc po tych schodach, że dlań tak pamiętne kiedyś będą.

Nazajutrz o południu dwie karety i dorożka odwoziły orszak z kościółka na przedmieściu.

W ostatniej chwili, sumieniem ruszony, zjawił się wujaszek redaktor i czując się obowiązany do współdziałania w ceremonii, zstępując za młodą parą ze schodów, zaprosił całe towarzystwo na obiad do pierwszorzędnej restauracji.

Panna młoda przyjęła tę wieść okrzykiem radości.

Wyglądała ona jak pierwiosnek w śnieżnej sukience; pan młody był zmęczony i posepny jak człowiek po ciężkiej pracy.

Gdy się znalazł w karecie obok żony, pochylił głowę w dłonie, przymknął oczy i nie otworzył ust; ona nuciła wedle zwyczaju przez ząbki, wyglądając oknem.

- Mam pieniądze - rzekła nagle, jakby przypominając sobie tę ważną kwestię - stryj mi je dał wczoraj.

Wyjęła portmonetkę z torebki i podała młodemu człowiekowi czek do banku na pięć tysięcy rubli.

Wziął go z wielką radością i widocznym rozradowaniem.

- Dziękuję - rzekł tylko.

- Nie koniec na tym. Przygotowałam panu do podpisu wiadomy dokument. Przeczytaj go pan.

Przebiegł oczyma podaną kartkę i nie mówiąc słowa nakreślił przy końcu imię swe i nazwisko ołówkiem, na szybie karety.

- Czy to wszystko? - spytał oddając cyrograf.

- Tak, dziękuję panu. Trzeba teraz dotrzymać zobowiązań.

- O to niech pani będzie spokojna.

- Ja nawet na scenie nie będę nosiła pańskiego nazwiska, nie jest melodyjne. Na afiszach i w teatrze będę Harriet. Nieprawdaż, że to dobrze wygląda?

- Zapewne. Wszak mi pani nie weźmie za złe, jeżeli zaraz po obiedzie się oddalę.

- O nie! Trafie sama do domu.

Zamilkli. Nie mieli nic więcej do mówienia. Łącznik żaden między nimi

nie istniał, nie znali się nawet.

Kurs ten poślubny wydał im się niezmiernie długi i nudny; od obiadu weselnego wykupiłby się biedny Chojecki nie wiem za jaką wysoką cenę. Nie, los srogi nie oszczędził mu ani jednej kropelki, ani jednej chwili.

Musiał zasiąść na honorowym miejscu obok uśmiechniętej Heni, wysłuchać trzech mówek, spełnić mnóstwo toastów, odpowiadać na prawo i na lewo.

Wujaszek po kilku kieliszkach rozchmurzył czoło; farsa weselna podobała się jego podchmielonej głowie; dwóch drużbów znajomych Chojeckiego, zawierało znajomość z Józią i Marynią; szampan się pienił, humory się rozkrochmały. Nagle poważnemu redaktorowi przyszła myśl godna ulicznika; szepnął coś jednemu drużbie, ten mrugnął na kolegę, wszyscy trzej umoczyli usta w winie i jak na komendę postawili kieliszki na stole.

- Kwaśne wino! - huknął naczelnik polityczno społecznego organu prasy.

- Kwaśne wino! - powtórzyli chórem drużbowie.

Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia. Pięć par oczu śmiejących się spoczęło na młodej parze.

Oni zaś myśleli pierwszy raz w życiu to samo: tego nie było w programie!

Chojecki z przykrości i gniewu poczerwieniał jak kochanek.

Henia podniosła ku niemu oczy i uśmiechnęła się figlarnie.

- Kwaśne wino! - wołano coraz głośniej.

Nie było rady. Certowanie doprowadziłoby tylko do większej konfuzji.

Młody człowiek przechylił się szybko i usta jego gorące musnęły lekko po koralowych wargach dziewczyny.

Oboje nie spostrzegli się, gdy już było po wszystkim.

Nareszcie była to ostatnia kropla z kielicha utrapień Chojeckiego. Obiad się skończył.

Zostali ostatni przy karecie, która miała odwieźć Henię do domu.

Czuł się w obowiązku powiedzieć coś na wytłumaczenie.

- Przepraszam panią - zaczął od naprawiania mimowolnej winy, lokując jej tren w powozie - ale...

- Jaki to zabawny zwyczaj - przerwała mu żywo - ale wie pan, że mnie nikt w życiu nie pocałował. Jaka to śmieszna rzecz! Żegnam pana i dziękuję.

Skłonił się i po chwili, zapewne na podziw służbie restauracyjnej, pan młody poszedł na prawo, karetka ruszyła na lewo.

Cóż by powiedziano na ten szczegół, że żona, by sobie przypomnieć nazwisko męża, zaglądała do aktu ślubnego, a mąż byłby w kłopotcie, zapytany o mieszkanie małżonki.

Szedł szybko. Do wieczora miał jeszcze tyle zajęć, a jutro czekała nań praca w redakcji.

W banku rozmięziono mu kwit na państwowe papiery, był to kurs pierwszy. Stamtąd nie szedł już, a biegł do początkowego zarządu i śmiało, jak człowiek obeznany z miejscowością, otworzył drzwi w ciemnym korytarzu, prowadzące do brudnej, okopconej sali. Za kantorem, w głębi, pod wiszącą

lampą urzędnik jakiś pisał, a raczej zapełniał cyframi olbrzymią księgę, zresztą było pusto.

Sekretarz redakcji przystąpił szybko do stołu.

Urzędnik podniósł głowę, przymrużył oczy. Widocznie poznał interesanta, bo dziwny uśmiech przebiegł mu po twarzy, aż chłopak zbladł pod tym wejrzeniem, jakby stał u pręgierza. Nadludzka siłą zachował spokój pozorny.

- Dobry wieczór, panie Gorcz - rzekł zwykłym głosem. - Ojciec przysłał mnie tu w interesie owej sumy pieniężnej, które zabrakło po jego nieszczęśliwym wypadku.

- Zdaje mi się, że jej zabrakło przed owym nieszczęśliwym wypadkiem - wymówił ze złośliwym przyciskiem urzędnik, łącząc do słów wzrok bazyliuszka.

Chojecki zbladł, dzika rozpacz przeszła mu spazmem po twarzy, dławilo go coś w gardle.

Po chwili walki podniósł czoło. Biło z niego prawie bohaterstwo.

- Wiem, panie - odparł - że na ojca mego padł zarzut kradzieży. Ha, Bóg to osądzi! Jam tu przyszedł, by wam zwrócić te pieniądze i prosić o pokwitowanie. Ojciec mój kona w szpitalu, oto powód, dla którego tak długo nie spełniłem jego polecenia; przed śmiercią powinien mieć imię czyste i honor bez skazy.

Chłopak zamilkł, drżącą ręką licząc przed oczyma zdumionego urzędnika pakiet asygnat, otrzymany przed chwilą z banku, nie zatrzymał ani jednej.

Teraz on stał dumny u stołu, obojętnie, wzgardliwie słuchał przeproszeń i tłumaczeń urzędnika.

- Proszę o kwit - wymówił zimno.

Dopiero za drzwiami sił mu zabrakło. Zawrót głowy go ogarnął i osłabienie bezmierne. Oparty o ścianę, z zaciśniętymi zębami, dysząc jak po męce, ocierał dłonią czoło, na którym zimny pot się szklął wielkimi kroplami.

I znowu nagle, jakby pochłonięty nadprzyrodzoną siłą, ogarnął ból wstydu, gorączkę upokorzenia i z kwitem w ręku wyszedł na ulicę.

Ach, on wiedział, że ojciec jego ukradł rządowe pieniądze, ukradł na karty, a potem, nie widząc sposobu rehabilitacji, nieprzytomny, błędny, przyłożył broń do boku i dogorywał w szpitalu bez nadziei ratunku, w gorączce majacząc prośbę rozdzierającą, by mu kto plamę stał z honoru, jedyną w życiu...

Ach, chłopak, wyrostek prawie, wziął ten jęk w duszę jak torturę; dzwonił mu nieustannie, nie dawał spokoju. Nie miał nic na świecie prócz siebie, sprzedał się, plamy nie było już, przeświadczenie hańby i słabości on tylko poniesie wspomnieniem przez całe życie, umierającemu da chwilę szczęścia, nie wyzna, czym ją zapłacił; spełnił obowiązek.

U drzwi szpitala zatrzymał go posługacz. Znał tę twarz z codziennych odwiedzin.

- Gdzie pan idzie? - zagadnął.

- Do pana Chojeckiego, na górę.

- Eh, nie trzeba iść na górę. Już go przenieśli.

- Gdzie? - Sekretarz zadrżał.

- Do kaplicy - odparł obojętnie sługa, wskazując w głąb - ot tam, umarł dziś rano.

* * *

Pewnego dnia pod wieczór, wpadła Henia zdyszana do redakcji.

- Wujaszku, gdzie mój mąż? - zawołała od progu.
- Alboż ja wiem! Przed tygodniem prosił o kilkudniowy urlop i dotąd nie wrócił. Myślałem, że spędzacie razem miódowy miesiąc.
- Nie widziałam go od dnia ślubu.
- Biedny chłopiec. Ojciec mu umarł tegoż dnia.
- Więc on miał ojca?
- Cóż w tym dziwnego? Każdy go ma.
- Ja nie mam. Ale doprawdy, że mi go żal. Kiedy wróci?
- Kto? Twój ojciec czy Chojecki? Mieszasz wszystko razem.
- Mój mąż - rzekła patetycznie.
- Nie wiem.
- Gdzie on mieszka przynajmniej?
- Saska ulica numer 7.
- To dobrze, pojedę go pocieszyć.
- Jesteś bardzo do tego stosowna.

Henia powtórzyła adres dorożkarzowi i kazała się śpieszyć.

W oznaczonym domu stróż zawiódł ją na korytarz samych kawalerskich mieszkań, otworzył jedne drzwi, wziął na piwo i odszedł.

Henia pierwszy raz w życiu znalazła się w najzupełniej obcym mieszkaniu.

Lampa z zielonym kloszem paliła się na biurku, przy którym Chojecki przerzucał jakieś papiery.

Nie zauważyła, jak wychudł i zmizerniał od ślubu; skonstatowawszy tożsamość osoby, była najzupełniej zadowolona.

Słyszając otwieranie drzwi obejrzał się, poznał ją mimo mroku i wstał, widocznie bardzo zdziwiony.

- To pani? - zawołał oczom nie wierząc.
- A tak. Chciałam już policji polecić wyszukanie mojego męża.
- Pani mnie potrzebuje?
- Naturalnie! Ach, te prawa obmierzłe, te formalności, te chińskie ceremonie!

- Cóż się stało?

- Nie chcę mi dać paszportu bez pańskiego zezwolenia. Nie mogę im wytłumaczyć, że są dwie kategorie mężów... Słyszana rzecz! To oburzające, zatrzymywać mnie dlatego... Tracę tylko czas i pieniądze. Patrz pan, ile mi ten nieznośny paszport sprowadził na głowę urzędowych papierów. Bierz je pan sobie, nie dam rady sama!

Wytrząsnęła mu z torebki na stół cały stos zapisanej bibuły i odetchnęła z

głębi piersi.

- Aż mi lżej! Wszak mi pan to zrobi, nieprawdaż? - rzekła prosząco, podnosząc ku niemu śliczne swe czarne oczęta z wyrazem, który musiałby długo zapamiętać, gdyby umiał czuć i patrzył na nią w tej chwili.

Przejrzał szybko papiery i złożył je porządniej.

- Za trzy dni może być pani na dworcu kolei, wręcę pani paszport z pewnością - rzekł spokojnie.

- Dziękuję, dziękuję panu. Po tych biurach i urzędach straszno mi było chodzić. Więc z pewnością mogę liczyć na pana?

- Z pewnością.

- Dziękuję raz jeszcze i żegnam.

Podążyła mu swą małą rączką, której ledwo dotknął, i poskoczyła ku drzwiom.

Wziął lampę, by jej poświecić, wysunęła się na korytarz.

W tejże chwili przeciwległe drzwi rozwarły się z hałasem; kilku mężczyzn, śmiejąc się głośno i rozmawiając beładnie, stanęło przed dziewczyną.

Chwila podziwu, głębokiej ciszy, potem wybuch wesołości.

Henia poczerwieniała jak mak pod cynicznym spojrzeniem wszystkich oczu! Otoczono ją wokoło.

- Dama u Chojeckiego! - zawołał jeden.

- Młoda i piękna! No proszę! Myślałem, że ten borsuk nie rozróżni cioci od wujaszka.

- Czy to on tak żałobę odsiaduje! A żmija!

Dziewczyna cofnęła się szybko. Obejrzała się za pomocą, spotkała na sobie spokojny wzrok Chojeckiego.

- Pani pozwoli się przeprowadzić - rzekł z najzimniejszą krwią, nie racząc spojrzeć na młodzież.

Oczy dziewczyny były łez pełne, przykreść bezmierna wyzierała z każdego rysu. Milczała. Chojecki spojrzał na nią zdziwiony, jakby trochę sympatyczniej niż zwykle.

- Proszę, niech pani usiądzie - rzekł. - Ci panowie zaraz się oddalą.

Bez ceremonii zamknął drzwi przed nosem wesołych ichmościów i podał jej jedyne krzesło.

- A jeśli tu wejdą? - spytała niespokojnie.

Podniósł głowę. Błysk życia przeszedł mu po twarzy.

- Niech spróbują! - mruknął tonem, którego nie znała.

Za drzwiami śmiano się jeszcze, lecz po chwili hałas się oddalił i ucichł. Chojecki wyjrzał na korytarz, był pusty. Henia wstała, już znowu wesoła, jak ptaszek.

- Odprowadzę panią - ofiarował się usłużnie.

- O nie, dziękuję panu. Cóż znowu! W teatrze i za kulisami będzie gorzej. Trzeba się przyzwyczaić. Skompromitowałam pana opinię, jak mi się zdaje. Boże, co ja panu kłopotów przyczyniam! Ale to już ostatni, do chwili, jeżeli

przypadkiem pan się zakocha we mnie.

Srebrny śmiech, delikatny szybki krok, i znikła jak jasne
widzenie z ubogiej stacyjki sekretarza.

Nie widziała lekceważącego ruchu ramion wywołanego ostatnim zdaniem.
- Narwana! - burknął sięgając do biurka i biorąc na powrót do rozpatrzenia
przyniesione przez nią papiery.

Farsa małżeńska jeszcze się dla niego nie skończyła, przez parę dni zajęła
mu większą część czasu. Na oznaczony termin stawił się akuratnie, jak klepsydra,
na dworcu kolei.

Heni jeszcze nie było. Minęło pół godziny, rozległ się pierwszy dzwonek.
Chojecki niezbyt łagodnie przejrzał salę, widocznie fatygował się na próżno, był
sługą kaprysu wpół szalonej dziewczyny.

Nagle znany głosik rozległ się u drzwi. Primadonna in spe ukazała swą
ożywioną twarzyczkę zza barków tragarza obładowanego pakunkami. Wołała go.

- Omal się nie spóźniłam! Ten stryj nieznośny kazał jeść, pić, a gderał, a
nadziewał radami. Gotowam nie pojechać.

Miała łzy w oczach.

- Weź mi pan bilet! Dziękuję za paszport! Proszę pieniądze! - wołała "pele-
mele" (*fr. bezładna mieszanina*), tkając mu portmonetkę w rękę.

- Ale dokąd bilet? - zawołał czując, że traci spokój.

- Do Wiednia! Moje rzeczy! - Zniknęła.

Był już u okienka kasy, gdy wpadła nań znowu jak burza wiosenna.

- Dokąd pan bierze bilet? - wołała.

- Do Wiednia, pani kazała.

- Ale nie! Ale nie! Pomyliłam się... do Paryża!

Zanosila się od śmiechu, uszczęśliwiona z hałasu, świstu pary, zgrzytu,
nawoływania i bezładu!

Rzuciła się w świat na oślep, rozgorączkowana swobodą.

Chojecki spojrział na nią, chciał się gniewać, nie mógł. Nie był wcale
usposobienia wesołego, ale w tej chwili zmusiła go rozchmurzyć czoło.

Mimo woli uśmiechnął się nieznacznie.

- Może do Berlina? Niech sobie pani lepiej przypomni.

- Ale nie, do Paryża, z pewnością!

Gdy ją wynalazł i wręczył bilet, okazało się tysiąc nieszczęść. Kuferek się
zapodział, walizka ręczna zaginęła; wreszcie, chowając bilet do portmonetki,
wysypała mu pod nogi całą garść drobnego srebra.

Biedak chwycił się za głowę. A tu sygnał grał, lokomotywa gwizdała.

Henia zanosila się od śmiechu.

Gdyby nie opatrność w postaci popsutego wagonu, który dostrzeżono w
ostatniej chwili i musiano odczepić, primadonna wróciłaby z konfuzją do stryja.

Nieszczęsny mąż miotał się jak mucha w ukropie, jakby go zaraziła żywość
Heni; już się ani marszczył, ani burczał.

Nareszcie usadowił ją w wagonie, stwierdził obecność paszportu, biletu,

pieniędzy, wyszukał znajomego, jadącego w tę stronę, i polecił mu ją w opiekę, zachowywał się jak najczulszy małżonek.

- Radzę pani za granicą wziąć wagon sypialny i pilnie uważać na zmiany pociągów. Przez nieuwagę może pani trafić wprost w przeciwną stronę.

- Dobrze, dobrze! Jestem bardzo uważna. Ach, jak to zabawnie tak się śpieszyć! Dziękuję panu, raz ostatni, sądzę! Jeśli się spotkamy, kiedy będę bardzo sławna, zaśpiewam dla pana wyłącznie najpiękniejszą arię z mego repertuaru. Do widzenia!

Zeskoczył na platformę. W oknie uśmiechała się doń jej dziecinna twarzyczka.

- Ukłony stryjowi i wujowi. Za rok przeczytają moje imię na afiszach. Będę sławna? Jak pan myśli?

Pociąg ruszył, unosząc zapytanie bez odpowiedzi. Co prawda, Chojecki myślał tylko o tym, po ilu wypadkach i błędzeniach dziecko to osiągnie cel podróży.

Miał przed chwilą małą próbkę owej uwagi, którą się chwaliła tak bardzo.

Poszedł powoli ku miastu. Myśli jego przeszły do ciężkiej rzeczywistości i własnego życia; epizod weselny znikł ze smugą pary na horyzoncie, twarz wróciła do zwykłego wyrazu, uśmiech zamarł na długie lata.

Był to znowu biedak, sierota po ojcu zmarłym w szpitalu pod zarzutem kradzieży. Gdy tak szedł promenadą publiczną, prawie pustą jeszcze, nieuważnie potrafił kogoś dość silnie. Podniósł oczy, sięgnął do kapelusza, by przeprosić.

Oślupiał. Miał przed sobą oliwkowy płaszcz z peleryną, naciągnięty na suchą figurę zakończoną kapeluszem przedpotopowej formy. Pomimo upału czerwony szalik otaczał szyję, nogi powyżej kostek ginęły w olbrzymich kaloszach, a twarz dziwaka w uderzający sposób przypominała Chojeckiemu szanownego emeryta, stryja Heni; stał trzymając w jednej ręce papierowy woreczek, drugą miał złożoną w pięść, między palcami sypał się jakiś szary proszek.

I on też spojrzął na brutala, który go pchnął przed chwilą; miał widocznie na języku gderliwą admonicję z owego rodzaju, który tak lubiła Henia, ale poznał Chojeckiego i przyjaźnie rozszerzył bezzębną buzię.

- Witam, witam, ale ręki nie podaję, bo widzisz, zajęta. Zaraz, poczekaj młodzieńcze, wnet ją uwolnię.

Stary się schylił i ostrożnie wysypał na ziemię to, co trzymał w dłoni, następnie w tym miejscu postawił nogę.

- A co pan dobrodziej robi? - zagadnął Chojecki.

- A bo to, widzisz, ten chodnik strasznie nierówny. Zarząd nie reperuje, a tu każda szpara to gotowe kalectwo. Musiałem sam wziąć się do dzieła; zasypuję nierówności piaskiem.

Zupełnie serio emeryt, uściskawszy dłoń swego niby krewnego, sięgnął znowu do papierowego woreczka i ciągnął dalej dzieło ulepszenia drogi, gawędząc przy tym.

Chojecki volens nolens (łac. chcąc nie chcąc) musiał wlec się za nim.

- Cóżeś zrobił z tą kozą, vel (łac. czyli) żoną twoją? - zagadnął.

- Wyjechała do Paryża. Wracam z dworca właśnie.

- Dobrześ zrobił, żeś się jej pozbył, jeśliś człowiek stateczny i pracowity.

Kobieta, młodzieńcze, to katarynka, co ci rzępoli pod oknem wtedy, gdyś najbardziej zajęty; to skrobanie noża po talerzu; to źle wychowany kot, co ci tłucze statki i przewraca wazon; to zmora, kłopot, zguba człowieka!

Emeryt urwał, nie starczyło już tchu i porównań. Piasek się wyczerpał, wsunął więc torebkę pustą do kieszeni, przyśpieszył kroku.

- Czy uważasz, młodzieńcze, chłód wieczora? - zaczął znowu. - Wilgoć się wydziela, szkodliwe miazmaty, zaraźliwe bakterie... w takich chwilach niebezpiecznie jest być na powietrzu.

Chojecki uważał, że było najmniej osiemnaście stopni ciepła, wilgoci żadnej w powietrzu, tylko na czole krople potu - wspomnienie pracowitej godziny spędzonej na dworcu.

- Pan dobrodziej teraz jest zupełnie samotny? - zaczął mimochodem.

- Jak to? A moje kapelusze, moje ukochane, drogie kapelusze.

- Co takiego? Młody człowiek sądził, że nie zrozumiał.

Emeryt obejrzał się trwożnie i zniżył głos.

- Więc Henia mnie nie zdradziła przed panem? - wyszeptał prosto w ucho towarzysza. - No, to pierwsza rzecz dobra u niej! Hm, hm, muszę zmienić testament.

Zamilkł i zamyślił się, przykładając palec do czoła.

Chojecki myślał, że stary do reszty sfiksował.

- Co miała zdradzić pańska siostrzenica? - zagadnął.

- Hm, hm, a może i nie warto zmieniać testamentu... - monologował dalej oryginał. - Że dziś nie zdradziła, to dobrze, to nawet bardzo dobrze, ale kto mi zaręczy, że w chwili wylania serdecznego nie zdradzi tajemnicy? Co?

- Nie wiem, o czym mówi pan dobrodziej - odparł Chojecki, nie dziwiąc się już wcale, że podobne towarzystwo mogło Henię wypłoszyć z domu.

- Nie wiesz? Ha, to uprzedzę chwilę, gdy się o tym dowiesz od żony. Ona się na tym nie zna, może ci rzecz wystawić w niewłaściwym świetle. Ale chodź, chodź i suwaj hałaśliwie nogami, aby nas kto nie podsłuchał, broń Boże. Która część ciała jest najważniejsza? Głowa, powiadasz, to dobrze; ta koza twierdziła zawsze, że nogi, bo mogą tańczyć; hę, słyszałeś coś podobnego? Proste szcudła postawić wyżej od siedliska myśli i rozumu, to zgroza!

- Istotnie - wtrącił Chojecki sądząc, że może potakiwaniem skróci orację.

- Nie przerywaj, przechodzimy do jądra samej rzeczy. Jeżeli zatem głowa jest najważniejszą częścią naszej istoty, ważność jej spływa i na przedmioty mające z nią styczność. Każdy przeto, kto pracuje nad owymi przedmiotami, przyczynia się poniekąd do rozwoju ludzkości. A teraz pytam: co ma najbliższą styczność z głową?

- Kapelusz - odparł Chojecki, zrozumiałwszy wreszcie manię dziwaka.

- Doskonale, wyśmienicie! Niech cię uściskam! Wyobraź sobie, że ta dziewczyna odpowiadała mi zawsze: peruka! Okropność. Przedstaw sobie moje życie z taką istotą! Zasłużyłem sobie na niebo!

Emeryt odetchnął i spojrział z dumą na Chojeckiego.

- Pracowałem lata całe w tym kierunku i zebrałem... szuraj nogami, he, he, żeby kto nie podsłuchał... zebrałem niezłą kolekcję kapeluszy! Kryłem się z nią przed światem, a głównie kryłem się przed tą kozą, bojąc się, by przez nią nie dowiedział się o moim skarbie jaki rzezimieszek i nie ograbił mnie, bo to bardzo łakoma rzecz taki zbiór, jedyny w kraju. Czy mogę ci w zupełności zaufać?

- Zaręczam panu, że nie mam stosunków z żadnym rzezimieszkiem - odrzekł Chojecki nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

- To dobrze! Widzę, że znalazłem w tobie człowieka, który mnie zrozumieć potrafi. Ty pierwszy zobaczysz je!

Tu stary zamilkł. Byli już w sieni domu i Chojecki, zgadzając się w pokorze z losem, poszedł za szanownym stryjaszkiem na znane sobie schody.

W mieszkaniu emeryta panowała ciemność. Nim zapalił lampę, gawędził klapiąc kaloszami po kątach.

- Dla bezpieczeństwa nie trzymam sługi; to także ciekawe plemię! Henia miała jakąś podobną do siebie frygę. Wiesz, posadziłem ją o chęć podpatrywania i, co powiesz, splatałem błaznicy figła: pozatykałem watą dziurki od kluczków! He, he, nie wezmą starego wróbla na polewę!

Zapaliwszy światło emeryt rozebrał się flegmatycznie z płaszcza, szalika i kaloszy.

Chojecki zauważył, że chyba dla pomnożenia sobie tupania rozmieszczał te rzeczy każdą w innym miejscu. Nawet woreczek od piasku znalazł osobne schowanko pod ceratą na komodzie.

Zrobiwszy dopiero wszystkie te porządki, stary dobył klucz z kieszeni, wziął lampę i postępując powiódł za sobą gościa do owego sanctuarium.

Silny zapach różnych ingrediencji niszczących mole był pierwszym wrażeniem na progu. Pachniała tam kamfora i pieprz, proszek perski i terpentyna, zmieszane razem w atmosferę mogącą wypłoszyć najzjadliwsze robactwo, a zabijającą nawet oddech człowiekowi.

Dalej spostrzegł szczęśliwy wtajemniczony, że podłoga, stoły, półki, krzesła były zastawione rzędami samych pudełek z tektury opatrzonych różnokolorowymi etykietami. Jedyne okno było zasłonięte grubą firanką, na jedynym swobodnym stoliku leżały stosy papierów, pęki sznurków, puste flaszki od molobójczych preparatów i różne rupiecie. Stary umieścił wśród nich lampę.

Zaczął się tedy szczegółowy przegląd pudełek. W każdym z nich, na posłaniu z ziół aromatycznych, przykryte delikatną bibułą, mieszkało jedno straszniejsze od drugiego czupiradło kapeluszonego rodu.

Były tam płaskie i wysokie, ścięte i śpiczaste, jakieś grzybki i łopuchy, i budy, i cylindry, i Bóg wie co za straszydła. Istotnie, zbiór był znakomity dla karykaturzysty. Chojeckiemu wreszcie poczynano się w głowie mącić od tej

mieszaniny, poplątanej jeszcze gawędą starego, który o każdym plótl jakąś historyczną orację pomieszana ze szczegółami, jakim to on szczęśliwym zbiegiem okoliczności doszedł do posiadania tego cudu.

- Widzisz to cacko... - mówił otwierając nowe pudełko i podnosząc w górę olbrzymi trójkąt mogący od biedy służyć za kołyskę. - Co to za forma, co za wdzięk! Jaka szkoda, że moda zginęła! Myślałem zrazu, że można ją będzie wznowić i aby ludziom przypomnieć, ubrałem się w niego na spacer. Wprawdzie uważałem, że musiał się podobać, bo nikt mnie nie minął bez zatrzymania się na chwilę, ale na tym się skończyło; nie dostrzegłem potem nikogo, kto by go naśladował; a szkoda, nieprawdaż?

Dla większego wrażenia emeryt wdział na głowę ów cenny zabytek. Trzeba było bohaterstwa, żeby nie wybuchnąć śmiechem na ten widok. Chojecki zagryzł usta do krwi. Dla odwrócenia niebezpieczeństwa obejrzał się w inną stronę.

- A to co zawiera? - spytał wskazując pudełko naznaczone krzyżem czarnym, stojące na uboczu.

Emeryt nagle się zasepił.

- Ach, to smutna historia! - zawołał wpadając w ton gderliwy i nieszczęsne pudełko odsuwając niegrzecznie nogą, żeby swym dotknięciem nie skaziło innych.

- Był to kapelusz pamiątkowy, należał do jednego z marszałków Francji. Ceniłem go jak najmilsze dziecko aż do dnia, gdy na nim dokonano profanacji. Wyobraź pan sobie, pewnego razu Henia dobrała się tu, nie wiem dotąd jakim sposobem, zrobiła mi straszną rujnację, po chaosie domyśliłem się sprawcy, i ten właśnie kapelusz porwała na jakąś trawestację do podobnej sobie koleżanki! Okropność! Odebrałem go naturalnie, ale jak! Znalazłem kapelusz marszałka Francji u niej pod krzesłem, zmięty, sprofanowany, bez wagi w mych oczach. Dość panu powiedzieć, że był na tej głowie; to wystarcza do oznaczenia pogardy, jaką czuję dla niego teraz. Niech go mole zjedzą!

Tegoż samego życzył Chojecki całemu zbiorowi. Jemu zawdzięczał migrenę od ostrych woni i gorączkowe marzenia tejże nocy. Położył się spać odurzony, prześladowały go we śnie setki moli, za którymi uganiał się marszałek Francji z pudełkiem perskiego proszku w ręku, aż go emeryt porwał za kołnierz i zamknął w pudełku, skąd po chwili wyjrzała ciemna główka Heni w jakimś fantastycznym kapeluszu, którym salutowała starego.

- Łapaj ją, zamknij, to profanacja - słyszał wyraźnie głos nieszczęśliwego stryja i ruszył mu w pomoc, goniąc dziewczynę po stosach pudełek.

Już ręka jego sięgała jej prawie, gdy się odwróciła i rzuciła mu w twarz pęk jakiegoś ziela.

Wówczas zdało mu się, że i on jest molem; zapach ziela go uderzył, upadł bezsilny, czując wszystkie tortury agonii.

* * *

Żałobna wypustka u surduta młodzieńca uratowała go szczęśliwie od setki

dowcipów, które krotocwilny redaktor miał na języku, gdy ujrzał nazajutrz swego sekretarza zajmującego zwykłe miejsce przy biurku.

Powstrzymał się jednak w czas, uścisnął tylko serdecznie rękę i wyrezonowawszy, że praca w smutku jest najlepszym lekarstwem, wspaniałomyślnie oddał mu wszystko, co miał do roboty, jako dodatek do zwykłych zajęć, a sam poszedł wynagrodzić sobie ten dobry uczynek w jakiejś literackiej kawiarni, wśród grona kolegów.

Cierpliwy chłopak nie rzekł słowa na ten nowy rodzaj pociechy w smutku, która mu zajmowała odtąd dwa razy tyle czasu co przedtem. Siedział, milczał, czytał i pisał, na pozór zupełnie rad z życia. Nadmiar pracy nie przykrzył mu się. Z natury małomówny, poważny i dziki, nie szukał towarzystwa i znajomości, i wolał spędzać czas w redakcji niż samotnie w swej izdebce, gdzie tak niedawno jeszcze mieszkali razem z ojcem. Przy tym miał dla redaktora dług wdzięczności. Pamiętał, że gdy przed kilku laty przybyli do miasta, zrujnowani wskutek jakiegoś procesu, i z zamożnych ludzi zostali nędzarami na bruku, bez chleba kawałka, nieznany człowiek zajął się nimi serdecznie.

Ojcu wyszukał skromny urząd, jego samego z całą wiarą wziął do siebie na pomocnika, wydzwignął obu z nędzy.

Dlatego to, na podziw innych urzędników redakcji, Chojecki nie skarżył się ani na nocne czuwanie nad korektą, ani na nadmiar pracy, ani na literackie wieczorki swego pryncypała w kawiarence na rogu. Zajmował się interesami nie jak sługa, ale jak przyjaciel, zajmował się tak serdecznie, że nawet redaktora napadały niekiedy wyrzuty sumienia i w rezultacie wybuchy czułości.

- Ćmo, molu, mizantropie! - wołał wówczas - czemu ty choć na ulicę nie wyjdiesz! Przyrośniesz do biurka!

- Albo ja ulicy nie widział! Co tam ciekawego? - mrucał sekretarz.

- No, to pójdź do teatru, na koncert, gdzie bądź, choć do ogrodu jakiego.

- Dziękuję panu, nie lubię muzyki.

- Nie lubisz! Ha, to dobrze! Każę ci tu pod okno katarynkę sprowadzić, jeżeli mi zaraz nie wyjdiesz na ulicę. Zachorujesz, człowieku! Ot, wiesz co, idź, odwiedź swego stryjaszka! Spotkał mnie dziś i mówił, że znalazł jakiś unikat kapelusza. Skarży się, że ciebie dawno nie widział. Przysiągłbym, że w gruncie brak mu psoty Heni. Zrobiłeś straszną krzywdę staremu, nie ma na kogo gderać. Wspomnisz moje słowo, że wkrótce wytnie ci orację, jak to źle, że jej tu nie ma. Zobaczysz, że on was jeszcze doprowadzi do pozbycia się narowów anty małżeńskich. No, patrzcie, jak on teraz zmyka! Ej, chłopcze, co ci tak pilno! Poczekaj, zaraz skończę.

Ale Chojecki nie był ciekawy końca, sądząc po początku.

Nie cierpiał drwin redaktora; jego szalone ożenie się im dalej się odsuwało w przeszłość, tym więcej zaczynało mu wyglądać na kapitalną niedorzeczność.

Wstydił się sam za siebie, gniewał się; zestawienie jego imienia z imieniem Heni irytowało go okropnie.

Gdy się jednak znalazł na ulicy, swobodny na resztę wieczora, nie zwabił go ani koncert, ani kawiarnia, nie poszedł szukać rozrywki, tylko ruszył wprost do starego dziwaka, ot tak, sam nie wiedząc dlaczego i po co, chyba dla spełnienia miłosiernego uczynku.

Zastał emeryta nad filiżanką herbaty, czytającego gazety.

- Ot, wiesz co? Dobrześ zrobił, przychodząc - zawołał pocziwina całując go po ojcowsku. - Chłodno na ulicy i za wiele kobiet, co? Uciekłeś do starego?... U mnie teraz cicho, odkądeś sobie wziął tę grzechotkę. Siądź, zaraz herbatki ci udzielę i pogawędzimy trochę. Powiesz mi, co tam u Heni słychać, musisz mieć częste wieści, albo może mi dokończysz gazetę? To bardzo pouczająca lektura.

Z dwóch tych propozycji Chojecki stanowczo wybrał ostatnią; porwał z żywością wilgotny jeszcze arkusz, nad którego ułożeniem spędził całą noc, i począł odczytywać "pouczającą lekturę", od handlowych telegramów i rozkładu pociągów do anonsów, zaginionych psów i adresów mamek.

Emeryt nie darował ani jednego wiersza.

- A dalej? A dalej? Cóż jeszcze?

- Nic, panie dobrodzieju, oprócz podpisu redaktora i mego.

- A prawda. No proszę. Co dzień czytam u spodu: "Chojecki" i nigdy mi na myśl nie przyszło, że to ty. Henia trzepie tak prędko i tak przekręca, że dotąd akuratnie nie wiedział, jak twój honor. Coś mi ta błaznica płątała groch z kapustą o tobie, ale kto by tego pytła słuchał. Chojecki - powtórzył po namyśle - coś mi to nazwisko nie obce. Darujesz, kawalerze, że cię pytam o imię.

- Tytus.

- Co? Ty byś był tym Tytankiem, z którym u jezuitów w Krakowie kolegowaliśmy przed sześćdziesięciu laty? Kawał czasu! - wykrzyknął stary, zapominając spojrzeć w zapale na zaledwie widoczny, pierwszy zarost osłaniający wargi chłopaka.

- To był mój ojciec - zrektyfikował anachronizm Chojecki.

- A prawda, chyba! Tyś trochę za młody! Ale skądże zabłądziliście w te strony? Z Tytusem Chojeckim znałem się wybornie. Obaj byliśmy w Galicji. On miał nad Sanem śliczny majątek, był zamożnym chłopcem, ja pauprem w porównaniu. Na wakacje zabierał mnie z sobą. Hę, hę, co? Czy nie tak? Pamiętasz?

- Istotnie, mieliśmy folwark w Galicji, Nadolsk się nazywał - szepnął Chojecki.

- A co? Widzisz? Odnalazłem w starej głowie wspomnienie, starsze chyba od ciebie, bo wówczas Tytus nie był żonaty i dzieci też nie miał - dodał, bardzo zajęty swą opowieścią. - Dobry był z niego kolega i brat. Ot, wiesz co, gdyby nie on, wątpię, czy bym się przez kolegium przepchał; bywało głodno i chłodno do zbytku. Ha, jakoś to minęło. Potem on musiał do majątku wracać, ja poszedłem do wszechnicy i już się nie spotkało kolegi w życiu. Pocztowy trakt nasza ziemia, kawalerze, dzień tu, jutro tam. Kto by mi powiedział przed laty, że tylko przypadkiem dowiem się o towarzyszu, że on sobie wyhoduje takiego tęgiego

chłopca, który mnie uwolni od roztrzepanej frygi i rozweseli wieczory! Poczciwy Tytus, może być dumny z ciebie.

- Ojciec umarł, panie dobrodziej - odparł Chojecki.

- Dawno?

- Na wiosnę, przed dwoma miesiącami.

- Ach, czemużeś mnie nie uprzedził? Choć to nieszczęście, że wy każdego biedaka, co zemrze, zostawiacie w tych okropnych, niehigienicznych kościołach, ale doprawdy poszedłbym pomodlić się za kolegę i oddać mu ostatnią posługę. Szkoda go. Któż ci został? Matka, rodzeństwo?

- Nikt, panie. Byłem jedynakiem, a matkę straciłem dzieckiem.

- Dlaczegoż wynieśliście się z Galicji?

- Bo nie było po co tam zostawać. Stryjeczny brat ojca wytoczył nam proces o granicę. Sprawa trwała lat dziesięć, zjadła nam kapitał, obciążyła długami, nareszcie wypadła na naszą niekorzyść. Koszty wzięły resztę. Nadolsk z licytacji kupił stryjeczny brat ojca, nam zostało parę tysięcy guldenów i szeroki świat. Poszliśmy tedy precz z Galicji. Zrazu szukaliśmy dzierżawy, ale nic się nie trafiło, kapitał poszedł na życie, trzeba było do pracy się rzucić. Z obywatela i gospodarza ojciec został pisarzem biurowym, a ja sekretarzem przy redakcji.

Emeryt zażył niuch tabaki, kichnął, otarł nos hałaśliwie i spod oka spojrział na gościa.

Zdawało się, że dziś dopiero go poznał i zobaczył, dowiedziawszy się, kim był, przypomniawszy stare lata i szkolnego kolegę. Tak był zajęty i uradowany z odkrycia, że aż mu na chwilę wyszły z głowy kapelusze i wskutek tego myślał i mówił jak człowiek bez bzika.

- Biedny Tytus! - mruknął. - On, taki żywy, energiczny, musiał się czuć więźniem w mieście. Czemużem się pierwiej o tym nie dowiedział! A ty, chłopcze, jakże czujesz się przy nowej pracy?

- Byliśmy jak skrepowani z początku - odparł zapytany, starając się uśmiechnąć. - Brakło nam, wieśniakom, powietrza, ruchu i swobody. Z czasem się człowiek do wszystkiego przyzwyczaja.

- Hę, wolałbyś orać?

- Wolałbym nie widzieć tylu ludzi - szepnął chłopak. - Jestem dziki i nieśmiały.

- Wszakże teraz możesz zmienić życie. Gdzieżeś podział pieniądze Heni? Miała trzydzieści tysięcy rubli.

- Nie widziałem ich - wyjąkał niezrozumiale, czerwieniąc się jak rak.

- Co? Zostawiłeś je u niej, wariacie? Dajesz szalonemu miecz w rękę?

Pozwoliłeś jej rozporządzać się nimi? Jej, co nie zna wartości grosza? Aleś chyba oszalał?

- To są pieniądze pańskiej synowicy, nie mam do nich najmniejszego prawa.

- To mi racja dopiero! Wziąłeś sobie błaźnicę ze wszystkim co jej jest i będzie! Ślicznie wygłaszasz zasady, pfuj! A jak się potem bęben urodzi, to ty

może także powiesz staremu stryjowi: to jest dziecko pańskiej synowicy, nie mam do niego najmniejszego prawa! A pfe, aż źle słuchać!

Chojecki mimowolnie uśmiechnął się na ten wynik.

- No, to już bez wątpienia będzie pańskiej synowicy.

- Aha, i może mnie je oddasz na hodowlę, ze swej łaskawości, co?

Wygodny jesteś. I po cóżeś się żenił, pytam, jeśliś pieniędzy nie wziął? Dobrze ci tak za głupotę! Pfe! Rzucić na poniewierkę taki kapitał, a samemu zostać w waszej smrodliwej redakcji! Żebyś ty wreszcie był jaki tam podobny do Heni półgłówek, to bym się o to nie troszczył, ale syn mego Tytusa! To mi żółć obraca.

Stary się rozchodził i rozsierdził okrutnie. Ani razu przez cały wieczór nie wspomniał kapeluszy! Nie uspokoił się póki nie wywiedział się jak najdokładniej o chęciach, zawodach, celach i zasadach Chojeckiego.

Nie było to znowu tak bardzo łatwą rzeczą. Ze skrytego, hardego chłopca każde słowo trzeba było wydzierać przemocą. Odpowiadał ogólnikami, monosylabami, krył się ze swą duszą jak z tajemnicą stanu.

Po parogodzinnej indagacji wyszło wreszcie na jaw, że nie cierpiał miasta, ludzi, pracy biurowej, słowem tego, co miał w życiu, a tęsknił za niedościgłą dolą gospodarza, obywatela samotnika, w jakim kącie, gdzie by mu świat milczenia nie przerywał. Marzenia nie były zresztą bardzo zuchwałe. Wiele biedy, wiele pracy, trochę chleba i jaka taka chałupa, w której by podczas deszczu można było znaleźć suchy kąt. Oto wierny obraz szczęścia mizantropa. De gustibus non est disputandum.

Emeryt, skończywszy badanie, rozparł się w fotelu, odbył manewr z tabaką, wsadził swą spiczastą brodę w rękę, przymknął oczy i zdawał się drzemać. Od czasu do czasu roztwierał powieki, ruszał ustami i mruczał coś do siebie.

Pewnie mi wymyśla w duchu, zem osioł, zauważył sam w sobie gość, nie śmiejąc przerwać milczenia.

Emeryt pierwszy się odezwał.

- To dobrze, to dobrze, tak będzie najlepiej - zawołał prostując się żywo.

- Słuchaj no, chłopcze, czy ja mogę na ciebie liczyć w razie potrzeby jak na syna kolegi?

- Naturalnie, jestem zawsze na usługi pana dobrodzieja.

- Pamiętajże, pamiętaj, bo ci obietnicę przypomnę kiedyś, zobaczysz.

Stary wyrzekł to tak uroczyście, jakby chodziło o zasady wiary.

Czy zwariował do reszty?

- myślał Chojecki dnia tego, wracając do siebie. Gotów doprawdy wziąć mnie za słowo i kazać którego dnia ustroić się w jakie kapeluszyisko dla wznowienia wygasłej mody.

Myśl ta nabawiła go takiego strachu, że przez dwa miesiące nie zajrzał do starego. Obchodził starannie promenadę publiczną, bał się prawie wyjść z redakcji. Wolał już znosić codzienne pytania pryncypała, na przykład, czy nie miał listu od Heni, czy nie spodziewa się w prędkim czasie zostać ojcem, czy nie myśli

gonić za nią, czy go nie trwoży jej kariera teatralna najeżona tysiącem pokus?

Chłopak wcisnął głowę w ramiona jak ktoś opadnięty przez rój pszczoł, doszło do tego, że na wejście redaktora dostawał gorączki z rozdrażnienia.

Razu jednego był prawie szczęśliwy, gdy znalazł w stosie korespondencji fantastycznie ustrojona kartkę zaczynającą się od słów: "Drogi Wujaszku." Zemścił się na niewinnym papierze za swe codzienne utrapienie i cisnął go z furją na bok, a sam poszedł na obiad. Z powrotem zastał pryncypała z binoklami na nosie. Trzymał list w ręku i starał się czytać.

- Aha, tuś, ptaszku. Masz, wyręcz mnie, musisz mieć wprawę do tych pcheł czy mikrobów, które twa ukochana wyrzuca na papier, tu chyba da radę mąż albo mikroskop.

- Oczy mnie bołą, mam słaby wzrok - mruknął.

- Ta, ta, ta! Słaby wzrok! Cudo to wypatrzyłeś bez pomocy obcej! Czytaj, bratku, bez żadnych zazdrosnych epizodów, wywołanych tym, że ona do mnie, a nie do ciebie pisze. Muszę wszakże u licha, wiedzieć, czego ona tam chce. Może chora lub potrzebuje pomocy. Nie można wszakże dać zginąć dziewczynie, tfu, przepraszam cię, chciałem powiedzieć kobiecie!

Chojecki już czytał, byle go się pozbyć.

Drogi Wujaszku!

Dziś mój trzeci występ, śpiewam Adelę, tu bardzo wesoły teatr, tak krzyczą, a za kulisami się kłócą i całują, i znowu sprzeczą! Okropnie wesoło! Mój dyrektor zgubił wczoraj perukę, zaczepiła mu się o gwóźdź koło kulisy, myślałam, że umrę ze śmiechu. Moje towarzyszki zbierają się za ledwie, siedzę sama, we własnym gabinecie, orkiestra już przyszła, za chwilę rrum!... i grać zaczną.

Tak się śpieszę!

Wyjeżdżając od was, zapomniałam w mieszkaniu jednego kolczyka z brylantem, bardzo mi potrzebny, musi się znaleźć na ziemi, w śmieciach, jeżeli go na ulicy nie zgubiła. Za ten jeden, co tu mam, Fanny chciała mi dać tysiąc franków, ale cóż, chyba go u nosa powieszę!

Śniło mi się wczoraj, że stryj nalewał herbatę w kapelusz; może go co złego spotkało? Niech go wuj pozdrowi ode mnie, bo nie mam czasu na osobny list; a jeżeli wuj nie wyczyta, to nie, bo to wodne pismo.

Ktoś puka, to pewnie ten pan, co mi co dzień przysyła bukiety i proponuje, ach! Eldorado na ziemi! Diable c'est tentant (*fr.* Diabeł, co kusi.), ale, na nieszczęście, on się nazywa Gaspard! Ukochany Kacper, brrr! Na to się nigdy nie zdecyduję.

Bądźcie wszyscy zdrowi Harriet.

P.S. Proszę powiedzieć a mon mari (ach, żeby Kacper ten frazes zobaczył) - proszę mu zatem powiedzieć, że na jego intencję nauczyła się najpatetyczniejszej arii z Sinobrodego, czekam okazji, by słowa dotrzymać, au

chevalier morose (*fr. o posępny rycerzu*).

- Cha, cha, cha! - wybuchnął redaktor - w ogniu trucizna. List niby do mnie, ale...

Dokończył gestem wymownym.

Chojecki obrócił się dość niegrzecznie w bok i spojrzał machinalnie na stempel pocztowy. Redaktor, uspokojony co do zdrowia siostrzenicy, puścił wodze konceptom.

- A imię mu: kakofonia! - wykrzyknął biorąc list do ręki i podnosząc w górę. - Kolczyk i modne pisanie, Kacper i Sinobrody, wszystko bez daty, bez nazwisk, miejscowości, ale genialne! Jutro umieścimy ten okaz w felietonie na pamiątkę wiekom przyszłym, na wzór stylu i formy! Cóż tak milczysz! Trwoży cię to pukanie do jej drzwi? Daj sobie pokój. Kacper wszak to jeden z trzech króli; w najgorszym razie, za przykładem imiennika, odbędzie pobożną pielgrzymkę do Betleem. Jako dobry chrześcijanin, nie będziesz udawał Heroda i ścigał w imię sprawozdania: gdzie byli?, co robili i co z tego wynikło? To dobre dla zazdrosnego bałwochwalczy. Idź tymczasem po ten kolczyk, w śmieciach zostawiony przed pół rokiem; pewnie go znajdziesz, bo Opatrzność nie zechce zezwolić na przedziurawienie nosa przyszłej primadonny, który, mówiąc między nami, jest teraz zgrabniutki. Już to pewnie, że nie jeden tylko mag spostrzeże wdzięki Heni, jeszcze rok, znajdzie się reszta: Melchior i Baltazar, i tak dalej.

Jakiś interes przerwał wyliczanie, a Chojecki, przez wrodzoną delikatność, rzucił na samo dno koszyka nieszczęsny list, bojąc się owego felietonu i możliwego rozgłosu, nie tak dla siebie, jak dla autorki; szczęściem jakiś skandalik uliczny, na pół wymyślony przez reportera, zwrócił uwagę redaktora w inną stronę i zapełnił nazajutrz odcinek. Po kolczyk, naturalnie, nikt się nie pofatygował i życie Chojeckiego płynęło monotonicznie dalej, gdy dnia pewnego zdarzył się nowy wypadek.

Późnym wieczorem biedak wyczołgał w swej izdebce, wyciągnięty do snu.

Nad głową u sufitu, wielki pajak tkął sobie płótno, zwijając się po nitkach, zasnuwając coraz wygodniejsze gniazdo, i młody człowiek śledził robotę z pilnością osoby bardzo zainteresowanej w kwestii; myślał, czy będzie muchą, czy też współtowarzyszem samotnika, który o tyle lepiej był uposażony od niego, że dzierżawił bezspornie róg sufitu, nie miał sąsiadów, znajomych, do czego on nigdy nie dojdzie.

To antropo zoologiczne marzenie przerwane zostało klapaniem kaloszy na korytarzu, pracowitym szukaniem klamki, wreszcie otwarciem skrzypiących drzwi.

Nim się zdołał zerwać, już miał przed sobą czerwony szalik, oliwkowy płaszcz, parasol i szeroką, ożywioną uśmiechem fizjonomię stryjaszka. Kraciastą chustką ocierał pot z czoła.

- Ararat twoje mieszkanie! - zawołał siadając na najlepszym krzeselku, które mu gospodarz śpiesznie podsunął. - Ot, widzisz, nie doczekawszy się

ciebie, sam przyszedłem... Mahomet do góry! - dodał uśmiechając się dobrodusznie.

Chojecki poczuł wyrzut sumienia, spuścił głowę uznając za najstosowniejsze milczeć i wstydzić się.

- No nie, ja to tak tylko mówię. Rad jestem, że też zobaczył, jak ty mieszkasz; przy tym przywiódł mi tu ważny interes.

- Pan dobrodziej mnie potrzebuje?

- A jakże, a jakże. Imaginuj sobie, jadę na wojaż. Ale to niezwykła rzecz, od lat trzydziestu nie opuszczałem miasta.

- Może bym mógł pana wyręczyć?

- Otóż to, otóż to! Zostawiam ci wszystko najdroższe, starania tyloletnie, owoc pracy zdaję na twe sumienie. Wszak ty ich nie dasz tknąć rzezimieszkom?

- Z całą pewnością. Co dzień będę w pana mieszkaniu, choć na chwilę.

- Na chwilę! Piękna rzecz!... A w drugiej chwili ktoś wpadnie i ograbi moje skarby! Na to nie ma zgody, a noce? One mają całe noce być bez troskliwej pieczy! Chcesz, żebym w drodze nie miał minuty snu z niepokoju, o nie! Ty musisz tam zamieszkać, jeśli mi dobrze życzysz.

- I owszem, z całą chęcią, mogę zaraz tam się udać.

- O tak, to dobrze. Byłem pewny, że się na tobie nie zawiodę. Oto trzy klucze: ten na rzemyczku to od nich, ten na kołeczku to od mego mieszkania, a ten, zgięty, od mieszkania Heni. W nim się rozlokuj, bo jej sypialnia przytyka do mojego skarbu; tam najlepiej posłyszysz wrzawę napadu i rabunku. Zapamiętałeś? Nie mieszaj ich, bo nic tak zamków nie psuje, jak szturchanie obcym kluczem.

- Pamiętam doskonale.

- No, to i w drogę. Będę dopiero spokojny, gdy cię zobaczę odjeżdżającego w tamtą stronę.

Stary dobył srebrną cebulę z kieszeni i zlustrował godzinę z zegarkiem młodzieńca.

- I mnie już czas w drogę. Rozejdziemy się przy bramie.

Chłopak zabrał śpiesznie trochę rzeczy i, naglony przez starego, opuścił izdebkę.

Na dole zastali dorożkę z kufrem emeryta, czekającą na pasażera.

- Pan na długo jedzie? - zagadnął Chojecki pomagając mu wsiąść.

- Nie wiem. Chcę sobie kupić w Turcji tabaki - odparł uśmiechając się filuternie. - A nie zapomnij o molach! - krzyczał już ze środka ulicy, zapominając o możliwym podsłuchaniu. - Trzeba co dzień opatrywać, i trzepać, i kroić, i wietrzyć!...

Turkot zagłuszył resztę poleceń. Chojecki powlókł się na swe nowe locum.

Po omacku znalazł schody, a potem drzwi, następnie zgięty klucz. Na pierwszym kroku potknął się o coś i upadł jak długi. Wstał mruczając niechętnie.

Mogą mnie sąsiedzi wziąć za rzezimieszka, myślał.

Ale sąsiadów szczęściem nie było. Emeryt z synowicą zajmował całe

pierwsze piętro niewielkiej kamienicy, z widokiem na promenadę publiczną.

Przez bojaźń niedyskrecji współlokatorów nie odnajął połowy po wyjeździe Heni i, jak się Chojecki przekonał, zapaliwszy zapałkę, musiał tu nawet nie być chyba.

Mieszkanie wyglądało jak las nawiedzony trąbą powietrzną. Najeżone było poprzewracanymi sprzętami, zarzucone śmieciami, papierami i przeróżnymi rupieciami, napełnione bezładem po brzegi. Wśród tego chaosu znalazł się lichtarz z kawałkiem świecy, i nowy gospodarz spędził noc śpiąc, jak drwał, na dziewiczym łóżku swej żony, z którego pościel widocznie Henia zostawiła na pamiątkę stryjaszkowi.

Od tego dnia Chojecki zbuntował się na nadprogramową pracę w redakcji. Spełniał swój obowiązek i zmykał z biura.

W swym nowym mieszkaniu znalazł raj. Panowała tu klasztorna niemal cisza i spokój. Nie miał wokoło, jak dawniej, trzydziestu kawalerskich stancji, gwarnych po całych nocach, nie odbierał wizyt rozochoczonej młodzieży, która znajdowała nadzwyczajną przyjemność w drażnieniu się z odludkiem, a co najważniejsza, znalazł bezpieczny przytułek przeciw konceptom krotochwilnego pryncypała.

Odwdzięczając się staremu emerytowi, co dzień bardzo gorliwie trzepał, wietrzył i opylał szanowne kapelusze.

Pewnego wieczora, gdy właśnie spełniał tę ważną czynność, ujrzał nagle w progu stryjaszka we własnej osobie.

Podszedł zdumiony.

- Pan dobrodziej chyba zakłębem otworzył zamek.

- He, he, he! - śmiał się stary. - Przestraszyłem cię, mój poczciwy chłopcze.

Nie dzwoniłem, bo mam drugi klucz, a myślałem, że cię nie ma w redakcji. Cóż tu słyhać z moimi drogimi dziećmi? - zagadnął, miłosnym okiem obejmując kapelusze.

- Zdrowe i całe - odparł Chojecki.

Stary rozebrał się z płaszczem i zaczął gospodarzyć w mieszkaniu, drepząc i gderząc, opowiadając i stękając, ale w rezultacie widocznie zadowolony z podróży.

- Musiał pan dostać w Turcji bardzo dobrej tabaki - zauważył młodzieniec.

- A, dobra, wyśmienita. Kiedyś ci jej dam skosztować, ale jeszcze nie dziś, niestety!

- Dziękuję panu. Nie zażywam!

- Ode mnie zażyjesz, a ja ci powiem "pomyślności", jak kichniesz! - śmiał się stary.

Tyle tylko dowiedział się Chojecki o nagłej podróży dziwaka. Przywykły nie dziwić się niczemu, wierzył wreszcie, że o tabakę tu chodziło, i nie troszczył się dalej o nią. Już to wyznać trzeba, że nawet wąż w rajach nie wzięłby go na ciekawość i nie zmusił do grzechu.

Nazajutrz, gdy chciał wracać do siebie, okazało się, że emeryt nie mógł się

już obejść bez niego.

Raptem, czego przedtem nie było, wzrok mu osłabł, nie mógł sam czytać, raptem polubił towarzystwo i raptem nie mógł wystarczyć jakiemuś fikcyjnemu nadmiarowi pracy. Jedynym lekarstwem na te wszystkie niedostatki był tylko Chojecki.

Powstało w chwili rozstania takie gderanie i takie utyskiwanie, że się chłopcu zrobiło serdecznie żal starego - został.

Zapłacił za mieszkanie Heni, sprowadził swe ubogie ruchomości i zastąpił synowicę staremu.

Naturalnie, emeryt zarobił na zamianie i choć gderał, to tylko żeby się nie odzwyczaić, bez powodu najmniejszego. Pomagało mu to zapewne w trawieniu.

Chojecki znalazł w nim drugiego ojca. Gderania nie słuchał, z dziwactwami się zżył, i gdy po pewnym czasie zajrzał w duszę starego, pokochał go i przywiązał się szczerze. Mieszkało tam złote serce.

Nic by im nie brakło w ich wspólnym pożyciu, gdyby nie nowa mania dziwaka: zachciało mu się raptem świeżego powietrza. To, którym oddychał od lat trzydziestu, okazało się smrodliwym, ciężkim, zabójczym, poczęło go dusić, nabawiać mdłości, wreszcie wszędzie było go za mało. W mieszkaniu zaprowadzał wentylatory, otwierał okna, wietrzył, studził, to znów grzał i palił bez pamięci.

Co wieczór zastawał Chojecki nową niedolę.

- Dziś wszędzie cuchnie frytura - wyrzekął, rad z cierpliwości słuchacza. - Powiadam ci, nos odpada z obrzydzenia. Po tych nikczemnych garkuchniach wytapiają na jedzenie dla ludzi tłustość z kotłów czy z kozłów! Naturalnie, ludzie mrą, a potem stawiają ich na trzy dni w kościele, żeby się dobrze rozłożyli i robili nową epidemię! Sodoma, powiadam ci!

Po takim dokładnym objaśnieniu Chojecki kładł się spać nie tknąwszy wieczery. Czuł wokoło odór trupi.

Nazajutrz inna atmosfera.

- Czy uważałeś zaduch gazu! Powietrze choć nożem krajać! Wieczorem nosy rozbijają przechodnie o słupy latarni, rury gazowe wszystkie popękały! Pfe! Jak pomyślę, że ten gaz wyrabiają ze wszystkich najobrzydliwszych odpadków, to mnie wstręt bierze na światło patrzeć!

- Wszak to gaz z węgla! - protestował udręczony Chojecki.

- Ale gdzież tam! Oni tak mówią, żeby ludzi uspokoić, a rzeczywiście kupują zdechłe psy, bydłące gnaty, końskie kopyta, i tym miasto oświetlają. Nie wierzysz, to wkradnij się podstępem do ich fabryki i zobacz. Oni się tam kryją, ale ja wiem, o! wiem, że gaz to gotowa epidemia, i dlatego nie radziłbym ci na ulicę bez niezbędnej potrzeby wychodzić!

Dzień trzeci: emeryt przyjął go z respiratorem na ustach.

- Ja tu nie wytrzymam, ja umrę! Ja nie doczekam się swojej śmierci, to mnie zabije! Słyszałeś coś podobnego? Asphalt u mnie pod oknem na promenadzie! Jakbym ją niedostatecznie piaskiem wyreperował! Była miękka i gładka, jedyne

miejsce, nie tknięte smrodliwymi miazmatami! Dziś rano postawili mi przed nosem osiem kotłów i skwarzą fetor przez dzień cały. Bodaj uskwarzyli za życia! I po co to! Latem jak słońce ten preparat rozgrzeje, będą lgnąć w nim kalosze, trzeba będzie nogi pozrywać czy co? A cuchnie to jak cholera! Ten nowomodny wymysł robią z asafedyty (*asafetyda (popr.) - gumożywica* stosowana dawniej w nalewkach jako środek uspokajający) i siarki, mieszając proszek guana. Pfe! Nie rozumiem, co się ludziom stało, że się teraz tak lubują w swędach; dlatego, naturalnie, nic nie rośnie, nic się nie rozwija oprócz śmiertelności!

Na nieszczęście biednego emeryta wkrótce nadeszła dżdżysta, brudna, zadymiona epoka robót ulicznych i, jak mówi przypowieść, czas wymiatania piekła przez diabła! Istotnie, zdrowego powietrza nie było w mieście na lekarstwo.

- Ja muszę na wieś wyjechać! - wykrzyknął pewnego dnia starowina, tryumfujący na ten projekt, i spojrzawszy ukradkiem na towarzysza, obserwując, co za wrażenie robi to na nim.

Chłopak podniósł głowę jak koń arabski na tchnienie pustyni; po chudej, apatycznej jego twarzy przeszedł ruch życia, głębokie oczy mignęły blaskiem z głębi, z których zwykle patrzyły prawie bezmyślnie, ale milczały.

Czyż to jego tyczyło się postanowienie stryja Heni? Spuścił głowę i po swoim patrzył znów w ziemię. Staruszek nie rzekł słowa więcej, ale już nie utyskiwał tego wieczora. Podniecony i wesół, pomrukując coś, co przed sześćdziesięciu laty zwało się piosenką, poszedł trzepać kapelusze.

Chojecki źle spał tej nocy i od rana tak ślamazarnie się sprawiał w redakcji, że oberwał od pryncypała epitet zakochanego idioty!

- Dałbym coś za to, żeby twa ukochana wytrzeźwiła cię swą obecnością. Pewnie nosi kolczyk przy nozdrzach i wygląda jak piękność z Polinezji! Czegóż w rezultacie chce to miłe plemię, które okarmiamy bibułą?

- Chce mniej bibuły, a więcej atramentu! - odburknął sekretarz.

- Posłać ich z tą petycją do Kadisohna! Ja nie fabrykuję mazi z galasu! - krzyknął zaperzony redaktor, uderzając pięścią w stos listów.

- Dobrze, odpiszę - odparł niewzruszony Chojecki.

- A ten gotów naprawdę! Palnij pierwaj czuły liścik do Paryża! Co w tobie siedzi, chłopcze! Ty krwi nie masz! Ani młodości! Z tobą nawet pożartować nie można. Siedzi jak rabin, nawet uśmiechnąć się zapomniał!

- Nigdy nie umiał.

- Co tobie jest przecie? Czyś ty chory, czy desperat! Czy kryminał nosisz na sumieniu? Jak żyję, nie widziałem czegoś podobnego. Człowiek, co nie był nigdy pijany, nie miał kochanki ani kochał serdecznie, nie zgrał się nigdy, nie lubi muzyki, teatru, choćby dobrego obiadku, którego nic nie zajmuje, nie bawi, nie porusza! Morze limfy, jednym słowem...

Redaktor tak się wzruszył, że aż uciekł do kawiarenki, prawdopodobnie, żeby w tym morzu nie utonąć.

Chojecki pod wieczór, nieco wcześniej niż zwykle wrócił do domu. Znalazł drzwi zamknięte, więc zadzwonił.

Po chwili emeryt pokazał wielki nos w szparze podwoi, ale puścić go nie miał ochoty. Parlamentował przez strzelnicę warowni.

- A, to ty. Cóż to tak wcześniej! Ale to dobrze, tylko że ja cię przyjąć nie mogę, bo widzisz, mam schadzki! Tylko nie myśl, żeby to była kobieta - dodał z żywością, pewien, że to pierwsza myśl, którą Chojecki mieć będzie - o nie, broń Boże! Przywieziono mi tabakę z Turcji, kontrabandę, więc nie chcę cię w to mieszać. Ale ja ci jej dam zażyć z pewnością.

I po tej pociesze zamknął drzwi na powrót.

Chojecki poszedł do siebie, a że zimno było, zapalił ogień na kominku w dawnym saloniku Heni i usiadłszy przed nim, zamyślił się głęboko.

Oczy jego błąkały się bezmyślnie z podłogi na ogień i na powrót, aż zwrócił ich uwagę błyszczący przedmiot na brzegu kominka, w szarym popiele. Blask płomieni mienił go dziwnie - był raz zielony, to złoty, to czerwony.

Młodzieniec trącił go niedbale drewnem. O zgrozo! był to - ni mniej ni więcej - tylko ów brylantowy kolczyk, którego para miała, wedle redaktora, tkwić w nosku Heni.

Chojecki podniósł go. Złoto rozpalone sparzyło mu dłoń, ale kamień jakimś cudem był jeszcze cały. Śmiał się do niego wszystkimi barwami tęczy, migotał jasno, jak czarne oczęta właścicielki na myśl figla i psoty, i musiał chyba taki talizman mieć w sobie, bo aż się Chojecki uśmiechnął, nie wiadomo z jakiego powodu, chowając go troskliwie do kieszonki w kamizelkę.

Zapewne przypomniał sobie scenę na dworcu, dlatego pono miłą i zabawną, że się wówczas pozbył ostatecznie żony.

Tymczasem schadzka tajemnicza emeryta przeciągnęła się w noc. Nie mogli skończyć próbowania wyśmienitej tabaki i pewnie kichali na potęgę.

Może mu ona wypędzi fryturę i asfalt, pomyślał Chojecki kładąc się spać.

Nazajutrz przypadała Wigilia Bożego Narodzenia. Wszędzie ją czuć było w mieście. Z kuchni zalatywał zapach strucli i ryb, po domach zapalano choinki. Tłumy zalegały targi, a gdzieś tam jakiś niecierpliwy ulicznik poczynął półgłosem "W żłobie leży".

Chojecki nie był łakomy na struclę, a czas choinki dawno już dlań minął, nawet nuta kołedy nie miała w sobie nic tak rozmarzającego, przy tym był wolny od pracy na dni parę, a pomimo to szedł jak galernik i zaglądał tak pilnie we wszystkie oświetlone okna, że mógł popaść w podejrzenie policji.

Ten wielki chłopiec poczuł nagle, że obok "morza limfy" miał łzy, co się gwałtem do oczu cisnęły, ten dorosły mężczyzna poczuł się samotnym sierotą, ten mizantrop zapragnął towarzystwa, odludek dziki i nieufny zapragnął kochania i serca czyjego, za które by swą duszą zapłacił.

Głupi, marzyciel, ciemięga! powiedziałaby słusznie trzeźwy redaktor, ale te trzy cnoty nie przeszkadzały biedakowi być najniezwyklejszym w tej chwili, gdy się inni weselili odświętnie. Nie miał gdzie iść, co z czasem zrobić, gdzie się przygarnąć ze swą bezmierną tęsknotą i niemożliwym marzeniem za tym, co leżało w grobie, i tym, czego dlań nie było na świecie.

Błądził tak z ulicy na ulicę i dopiero zmęczony, głodny i smutny jak puszczyk, przywłókł się z przyzwyczajenia do domu.

Na schodach woniała ryba i pieczywo, drzwi były szeroko otwarte i w progu stał gospodarz. Stary ustroił się od święta w odwieczny mundur jakiejś szkoły, gdzie profesorował przed półwiekiem, na łysej głowie miał czarną jedwabną czapeczkę. Wyciągnął do wchodzącego rozwarte ramiona i ucałował serdecznie.

- Nareszcie! - zawołał. - Myślałem, że pójdziesz gdzie indziej i zostawisz mnie samego! Nie mogłem się zdecydować jeść wieczery! Ale co ci jest, chłopcze! Takiś blady... - dodał troskliwie.

- Głowa mnie trochę boli, ale to mała rzecz.

- To pewnie od asfaltu! Gotowa choroba! A do tego głodny niezawodnie! Chodź, chodź.

Stół był zastawiony obficie tradycyjnymi potrawami, oświetlony jasno, usłany sianem.

Stary wziął opłatek i podał młodzieńcowi.

- Obym ci mógł dać szczęście, Tytusie, jak tego pragnę! - wyszeptał, a oczy jego wilgocią zaszyły, gdy przycisnął do piersi ciemną, kędzierzawą głowę sieroty.

Był to dla kogoś trzeciego śmieszny frazes w ustach oryginała, który mógł faworytowi w dowód łaski podarować chyba na pół zjedzony przez mole kapelusz, ale głupi marzyciel nie umiał rachować.

Nie znalazł w gardle słów na podziękę i, jakby mu obiecywano skarby Golkondy, pochylił się do kolan starego jak do ojca.

Po chwili ledwie obydwaj przyszli do siebie, emeryt nawet znalazł gderanie na języku, twierdząc, że zimna ryba to trucizna, a późny posiłek - druga.

Widocznie obaj dbali, żeby się nie otruć, bo jedli mało. Emeryt śpieszył się okropnie i miał twarz tak uszczęśliwioną, że Chojecki był pewny nabycia jakiegoś drogiego kapelusza.

Wieczereż, prawie nietkniętą, zabrał stróż pełniący urząd kamerdynera Chojeckiego, po czym obaj przeszli do saloniku.

Wówczas stryjaszek pompatycznie dobył z kieszeni jakiś wielki papier i podał młodzieńcowi mówiąc lakonicznie:

- Czytaj!

Czytał półgłosem, spokojnie, zrazu bezmyślnie, potem bardzo zdziwiony. Gdy skończył, odłożył papier na stół i milczał.

- Cóż to takiego? Zrozumiałeś? - wołał niecierpliwie gospodarz.

- Jest to przyznanie panu prawa na majątek Zalesińce w Galicji - odparł.

- To jest - wykrzyknął emeryt - że ja dłużej nie znoszę frytury i asfaltu; niech sobie cuchną panom z magistratu, kiedy je preparują! Kupiłem majątek. Po Nowym Roku zabieram ciebie i wyjeżdżamy na dobre powietrze.

- Mnie? - chłopak się porwał i zaczerwienił cały. - Ja nie pojedę z panem.

- Jak to nie pojedziesz?! Dlaczego nie pojedziesz?!

- Dlatego, że mam tu pracę i nie mogę jej rzucić, żeby ludzie i sumienie nie

powiedziało, że wyzyskiwał pana dobroć i był pasożytem!

Skąd on, mruk, znalazł odpowiedź hardą i tak wyraźną! Zwykle cichy, cierpliwy, giętki, zgodny, postawił się ostro, gdy szło o obronę honoru. Zmienił się w jednej chwili, aż emeryt spojrział nań zdumiony; ale zamiast się obrazić, pokiwał tylko głową.

- Tak, boisz się posądzenia o interesowność, a słowo łamiesz przez próżność - rzekł spokojnie.

- Ja słowo łamię?

- Tak, zrywasz obietnicę daną mi przed niedawnym czasem, że mogę na ciebie, jak na syna, liczyć w potrzebie. Otóż dziś przyszła ta potrzeba; wzywam cię, byś słowa dotrzymał.

- Pan dobrodziej może się obejść beze mnie.

Stary się zaperzył.

- A ja ci mówię, że nie! Mam sam gospodarzyć, może uczyć się rotacji czy notacji pola, dlatego, że tobie strzeliło coś do głowy!

- Można majątek w dzierżawę wypuścić!

- A samemu siedzieć tu w swędzie dla twoich kaprysów!

Emeryt aż sapał z irytacji. Uparte milczenie Chojeckiego podniecało go tylko. Widząc, że gniew nic nie poradzi, chwycił się innego środka. Zapalił świecę i skierował się ku drzwiom sypialni - w progu stanął.

- Kochałem twojego ojca jak brata - rzekł łagodnie. - Kochałem cię jak syna. Byłeś mi dzieckiem, myślałem, że mi podporą i pociechą będziesz. Nie ja tobie, lecz ty mnie mogłeś zrobić łaskę; nie chciałeś z pychy zrobić ofiary dla starego przyjaciela, który chciał cię sercem do siebie przywiązać! Nie gniewam się na ciebie; zrób, jak ci się zdaje najlepiej. Dobranoc, Tytusie!

* * *

Co to było? Co się stało? Jak mogło wydarzyć się coś podobnego?

Ten stary grzyb, ten strach na wróble, wariat, zabrał redaktorowi sprzed nosa najdroższego sekretarza, gadał mu bezczelnie, że chłopiec do niego należy, zbuntował go jakimś majątczyskiem, i pewnego dnia wsadzili na kolej kapelusze i pojechali na południe, zostawiwszy biednego dziennikarza w stanie wściekłego osłupienia.

Zapraagnął zemsty.

- Opiszę ja was tu pięknie w gazecie! - odgrażał się w bezsilnej złości.

Gdy się jednak przespał i rozmyślił, zaniechał projektu. Czyż się godziło ośmieszać starego za to, że się poznał na charakterze Chojeckiego i zrobił mu dobrze, i czyż miałby sumienie złośliwym artykułem odwdziżyć się chłopcu za tyloletnią pracę!

Zamiast paszkwila zamieścił tedy inserat wzywający nowego helotę na opróżnione miejsce w biurze.

Gdy wiosna nadeszła, wszystko wróciło do dawnego trybu; w redakcji, w

mieście, ci, którzy ubyli, nie zostawili żadnej luki w tamtejszym społeczeństwie; mało kto spostrzegł, że ich nie stało, a reszta zapomniała wkrótce o śmiesznym staruszku i dzikim młodzieńcu.

A tam, w Galicji, na żyznym kawale podolskiej ziemi, z pysznymi górami na widnokręgu, nowy człowiek stanął do pracy, witając ją jak szczęście. Porwał się, jak tytan silny, z zapalem krzyżowca, z dziką energią górskiego strumienia, który przez długie lata zwracano z łożyska wbrew prawom natury i chęci, aż wrócił w dawne nurty i huczał, i parskał, i szumiał witając wyzwolenie z niewoli.

* * *

Ze smutkiem wypada przyznać, że redakcja "Gazety" w cztery lata od rozpoczęcia naszego opowiadania była tą samą brudną i zadymioną norą, co przedtem. Miotłę i wapno wykleto na wieki z tego sanktuarium i choć dziennik dawał dobre dochody, nie zmieniono nic z zasady brudów odwiecznych. Redaktor miał zbyt wiele do roboty, żeby mógł zwrócić uwagę na podobne drobnostki.

Od chwili zmiany losu Chojeckiego skończyły się dla redaktora złote dni Aranjuezu.

Ach, ileż to razy z głębokim westchnieniem wspominał dawnego sekretarza, cichego, spokojnego, wiecznie na miejscu, wiecznie tylko pracą zajętego.

Z trzech jego następców każdy hołdował, z okropną szkodą dla dziennika, jednej z trzech rozkoszy opiewanych przez walc Straussa.

Pierwszy trzy ćwierci czasu trawił w restauracji lub winiarni, u biurka odsiadywał chwile drzemki i czkawki poobiedniej. Drugi za donżuanerię obrywał regularnie co parę dni kijem po grzbiecie i leczył swe guzy w redakcji - wcale niestosowny okaz dostojnika politycznego organu - lub, co gorsza ginął jak kamfora całymi tygodniami, a za powrotem był ogłupiały ostatecznie i zdał się tylko do ziewania. Trzeci poza zajęciem redakcyjnym miał manię kompozytorską. Płatały mu się w głowie motywy piosenek, bemole, takty, akordy. Gwizdał cały dzień i liczył w natchnieniu muchy na suficie.

A redaktor pracował za trzech i chwilami chwytął się za włosy, w bardzo niechrześcijański sposób wzywając na dawnego pomocnika dziesięciu plag razem.

Wbrew życzeniom Chojeckiemu wiodło się dobrze w Galicji, jak wnosił redaktor z paru listów starego emeryta pisanych staroświecką polszczyzną, pełnych uwielbienia dla przybranego syna.

Ten nie odzywał się nigdy. Dawny zawód musiał mu dobrze obrzydzić pióro i atrament. Od roku wieści rwały się zupełnie.

Już redaktor zaczął się obawiać owych tylekroć wzywanych plag egipskich, gdy pewnego dnia bemolowy sekretarz wezwał go do biura mówiąc, że ktoś pragnie zobaczyć go osobiście.

Gaz palił się smętnie, redaktor ujrzał tylko wysoką nieznaną postać. Spytał obojętnie o żądanie.

- Musiałem się bardzo zmienić, kiedy mnie pan nie poznaje - odezwał się głos, który starczył za prezentację.

- Chojecki! - wykrzyknął dziennikarz.

- Ja sam, na usługi! Ręce się spotkały w serdecznym uścisku.

- Skądże bym cię miał poznać, chłopcze! Żegnałem wyrostka, widzę mężczyznę! Patrzcie, co za wąsy! Co za postawa! Doprawdy, toż to teraz człek niebezpieczny dla płci pięknej! Dobrześ zrobił, odwiedzając mnie. Byłem już niespokojny o twą dolę. Cóż tam słyhać w waszej Galicji, he? Na magnata się kierujesz podobno!

Chojecki się uśmiechnął.

- Istotnie, coś niby tak - odparł wesoło. -Przed rokiem najniespodziewaniej wziętem sukcesję po stryjecznym bracie ojca, który nas przed laty wyzuł z mienia. Biedny ojciec nie doczekał się chwili powrotu do naszego kochanego Nadolska! Krewnemu się nie śniło zapewne, że umrze bezdzietny, i że dla mnie zbierał i skąpił całe życie. Zostałem nagle bogatym człowiekiem, właścicielem majątków, kapitałów i fabryk. Czasami myślę, że mi się to śni i że lada chwila obudzę się u pana w redakcji.

- Dałby to Bóg! - mruknął pobożnie redaktor.

- Cóż porabia stryjaszek? - zagadnął ciekawie. - Ile nabył kapeluszy przez te cztery lata?

- Ani jednego. Wyniesiono je na strych, gdzie je myszy i mole profanują.

- Cóż on zbiera teraz? Może gorsety?

- Nie, oddał się botanice. W swych Zalesińcach urządził królestwo flory; pieści się z lada jakim badylem jak niegdyś z kapeluszem marszałka Francji. Służy mu to na zdrowie wyśmienicie, odmłodził na wsi.

- Pewnie cię przysłał po cebule hiacyntów?

Chłopak spoważniał, obejrzał się wokoło. Nie dogadzał mu widocznie niedoszły Verdi czy Bellini.

- Mam interes osobisty, trochę ważniejszy: przyjechałem do pana, by chwilę porozmawiać sam na sam.

- Panie Powichrowski, pan daruje, że poproszę o zastąpienie mnie przy korekcie - przerwał redaktor muzyczną ekstazę sekretarza.

Kompozytor znikł nucąc pod nosem świeżo ułożoną melodyjkę.

- Bodajeś oniemiał, grająca tabakierko! - zaburczał w formie pożegnania pryncypał, siadając z gościem na ławce pod ścianą i zapalając papierosa.

- Cóż to za interes, chłopcze? - zagadnął żywo.

- Chcę prosić pana o adres i wiadomość o losie pańskiej... to jest panny Henryki Dobrzyńskiej...

- Co? Twojej żony? Ależ, człowieku, skądże jedziesz? Z Kaledonii? Od ludożerców? Wszakże ci akuratnie posyłam gazetę, a tam o niej pełno wieści! Chyba nie czytasz lub nie wiesz, że się przezwała Harriet na scenie?

- Nie, nie wiem, i wyznam otwarcie, że wiadomości te mało mnie obchodzą. Nie czytam ich nigdy.

- A stryj?

- O, stryj! Ten od dawna nie bierze dziennika do rąk, twierdząc, że tam same nekrologi, po których ma sny niespokojne!

- O plemię zacofane! O krety ziemne! Nic nie wiecie, kiedy sława europejska Heni nie doszła waszych uszu. Wszak o niej mówi świat cały. Nie dalej jak we wczorajszym numerze był artykuł. Zaraz ci go wynajdę. Słuchaj:

"Rodaczka nasza, Harriet, zbiera podczas obecnego sezonu w Paryżu nowe laury. Zdanie ogółu jednoznacznie nazwało ją pierwszą gwiazdą czasu. Głos jej istotnie porywa tłumy - jest wyższy nad wszelką krytykę. Harriet ma świetną przyszłość i karierę przed sobą. Na następny sezon zamówił ją Wiedeń, płacąc 5000 guldenów za przedstawienie."

- A co? - skończywszy zawołał wujaszek z dumą w głosie i postawie. - Cóż ty myślisz, hę?

Młodzieniec ruszył niedbale ramionami.

- Myślę, panie redaktorze, że kraj nasz za wiele ma już koników polnych, a za mało mrówek. Artykuł ten o tyle mnie obchodzi, że doniósł, gdzie znajduje pańską siostrzenicę.

- Czegóż może mrówka potrzebować od konika polnego? - mruknął z przekąsem redaktor.

Chojecki pomilczał, wreszcie potarł czoło i wstał żywo.

- Kiedyś, dawno temu, byłeś pan prorokiem, odradzając mi szalony projekt mego pseudo małżeństwa. Odparłem, że jestem zbyt ubogi, by pomyśleć o domowym szczęściu, i jak dziecko zaciągnąłem sobie sznur wokoło szyi, nie myśląc, że mnie zdławi kiedy.

- Aha! co! - redaktor rozłożył ręce jak Piłat - mówiłem, odradzałem: niech wariatka szuka wariata. Nie, wlałeś ty, poważny chłopak, do bonifratrów, ot i masz! dławi cię postronk! Jakbym widział; zakochałeś się, chcesz spędzić ślubem miłość, a tu nie można, choć się obwieś! Czy wiesz, z tobą jest coś, jak z tą Zosią z piosenki "Chciało się Zosi jagódek"!

Redaktor w wielkim podnieceniu zanucił melodię tak fałszywie, że aż przez drzwi wyjrzała muzykalna twarz sekretarza wykrzywiona zgrozą, a Chojecki chwycił się za uszy i parsknął śmiechem.

- Już to nie po panu odziedziczyła talent panna Henryka - zauważył.

- Mniejsza o talent. Chodzi o sens, a ten zrozumiałeś, nieprawdaż?

- Doskonale! Pozostaje Zosi, to jest mnie, prosić Jasia, to jest pannę Henrykę...

- Co? O jagódkę?

- Nie, o pozwolenie zerwania jej gdzie indziej, czyli o rozwód.

- Aha, i lecisz po to do Paryża! Ej, chłopcze, przez surdut widzę, jak ci serce gore!

- Ma wszelkie prawo odezwać się choć raz. Mam lat dwadzieścia sześć, dom, fundusz i starego stryja, który zna historię mojego małżeństwa i wyobraża sobie, że jest wszystkiemu winien. On to mnie wyprawił do Paryża.

- Ta, ta, ta! Powiedz raczej, że para siwych czy czarnych oczu! To będzie prawdopodobniejsze!

- No tak! Jeśli zostanę wolnym, ożenię się z hrabianką P., która dała mi do zrozumienia, że zgodzi się na to.

- Cha, cha, cha! Pierwszy raz słyszę takie wstydlive omówienie romansu! Powiedz wyraźnie, że dziewczyna rzuciła ci się na szyję i wyszłochała wśród pocałunków, że bez ciebie żyć nie może! W to uwierzę, ale nie żebyś ty się pierwszy posunął, a ona się zgodziła!

Rumieniec Chojeckiego był dowodem trafności zdania, ale chłopak nie pochwalił się łaską hrabianki.

- Mniejsza o słowa i formę - rzekł. - Chodzi mi o zdanie pańskie, czy panna Henryka zgodzi się na uwolnienie nas obojga z pęt zupełnie bezużytecznych.

- A czemuż by nie miała! Po co jej mąż, gdy ma zapewnione setki gachów! Fiu, nie poznasz jej, śliczna dziewczyna, aż oczy rwie!

- Ha, zatem będę próbował - westchnął Chojecki - choćbym się rad wykupić od tej awantury, bo w gruncie rzeczy zrywam umowę, szukając jej.

- Wiesz co? Najlepiej będzie, gdy się pogodzicie! To was ani grosza nie będzie kosztowało! - zaśmiał się wujaszek. - A ręczę ci, że dziewczyna cudna!

- A, żeby nawet była piękną jak Venus z Milo - zawołał niecierpliwie Chojecki - to ona nie dla mnie!

- Kto to wie!

Puszczającego się na koncepty wujaszka wstrzymało wejście kilku osób. Gdy ich się pozbył, nie było już Chojeckiego.

Uciekł, niecnota, nie obiecał wrócić. Chciałbym, żeby go Henia zbałamuciła! To by była jeszcze lepsza farsa jak ich gody małżeńskie! Cha, cha, cha! Żeby też on choć raz poznał, co to szał i krew, to bym tej czarodziejce dał pierwszy medal nagrody na konkursie prac nadludzkich! Morze limfy ten człowiek, choć się pozornie rozruszał i ożywił. Ach, żeby go Henia zbałamuciła!

* * *

Było ich dwoje w rozkoszonym buduarze pełnym atłasu, koronek i kwiatów.

Kobieta siedziała w fotelu, oparłszy o poręcz swą drobną główkę, zwróciwszy na niego parę oczu wielkich, palących, jak noc ciemnych i jak noc tajemniczych. Po jej różowych ustach błędził uśmiech niejasny, dziwny. Na jej twarzyczkę o delikatnym owalu różowy półcień pokoju rzucał chwilami niby wrażenie rumieńca, nadającego tej cudownie pięknej kobiecie nieprzeparty urok świeżości.

Była to Harriet, bożyszczce Paryża, bożyszczce zmienne jak kameleon, a ubóstwiane bałwochwalczo. Ubóstwiano ją, gdy kochała jak Gretchen, tęskniła jak Mignon, szalała jak Traviata, ubóstwiano ją za sceną, gdy wabiła i drwiła, żartowała i była bezlitosną zawsze, wszędzie.

Mężczyzna siedział naprzeciw niej, ani rozparty poufale, ani sztywno jak

zak. Był smukły jak jedlina karpacka, opalony słońcem i wiatrem, piękny chłopak w całym znaczeniu tego wyrazu, obraz siły, energii, a przy tym wielkiego spokoju i prostoty.

Siedzieli tak naprzeciw siebie od pół godziny i obserwowali się ciekawie.

Trudno orzec, które z nich zmieniło się więcej; żeby nie karta wizytowa, leżąca na stole obok Heni, nie domyśliłaby się nigdy, że ma przed sobą dawną znajomość, a on spytał ją na wstępie, czy to istotnie ona, a nie kto inny? Przeprosił ją za naruszenie umowy przedślubnej. Zaśmiała się na to niedbale. Życie aktorki nauczyło ją dawać sobie radę z przedmiotami daleko trudniejszymi jak natrętny mąż. Umiałaby teraz pozbyć się go bez cyrografu. Spytała o stryja, o kraj, o drobne szczegóły dawnego życia.

Wobec jego odpowiedzi przeszłość występowała tak wyraźnie, jak jaskrawe obrazki z dziecinnej książki. Przerzucali ją we dwoje, kartka po kartce, wesoło, swobodnie, aż chwilami Chojecki zapominał, po co tu przyszedł do tej syreny, której każde spojrzenie obejmowało ogniem, a śmiech srebrny dźwięczał jak piosenka. Zrazu nieufny i milczący, rozkrochmałał się i dostrajał, odpowiadał żywo, żartował, uśmiechał się nawet. Nie poznawała go.

Ten obdarty, chudy, niezgrabny chłopak, niegrzeczny, brutal prawie, wyrósł na światowego mężczyznę. Ha, i jemu życie kantów przycięło. Żartobliwa, poufna gawędka nie zbliżała jednak Chojeckiego do małżeństwa z hrabianką P., przyznawał to sobie w duchu, ale cóż było robić! Trudno przypiąć rozwód do wesołych anegdot lub wyrwać się z nim jak Filip z konopii. Namyslał się markotnie, co z tym fantem zrobić, dopóki fertyczna pokojówka nie wetknęła swej zwykowej figurki do buduaru.

- Modniarka przyszła - ogłosiła.

Było to dla gościa hasło do odwrotu. Henia wstała z żalem prawie.

- *Affaire d'-etat!* (*fr. Sprawa wagi państwowej!*) - zaśmiała się podając mu swą śliczną rączkę na pożegnanie.

Dotknął jej z lekka.

- Pani mi pozwoli przyjść jeszcze raz do siebie - rzekł zakłopotany - mam ważny interes. Dla niego przyjechałem do Paryża.

- Interes? - powtórzyła zdziwiona. - *C'est curieux* (*fr. To ciekawe.*). Jutro nie śpiewam i czekam pana o szóstej na polską herbatę. *Au revoir* zatem.

Skłonił się. Czerwona aksamitna portiera zapadła za nim, Heni oczy poszły w tym kierunku. Można przysiąc, że myślała, jakiego by to dało się splatać figla temu pysznemu Polakowi, spokojnemu a zimnemu jak posąg. Nie wiedziała jeszcze, że on jej splatał figla gorszego niż jej wszystkie, i że nie tylko jej oczy poszły za aksamitną portierę.

- Madame, hrabia przysłał kosz storczyków - szczebiotała za nią pokojówka. - *Son altesse* (*fr. Jego wysokość*) prosił o audiencję; markiz był zostawił kartę.

- *Au diable* (*fr. Do diabła*), hrabiowie, altesy i markizowie - zawołała niecierpliwie. - Proszę cię, Mario, na przyszłość nie przyjmuj kwiatów, a te, co są,

wyrzucić precz. Głowa boli od tego zapachu. Że też ci ludzie pojąć nie mogą, że o nich dbam tyle, co o tego ulicznika, który pokazuje białą mysz w klatce. Każdy lamentuje o miłość, jakby tego towaru był u mnie hurtowy skład.

Co za interes on może mieć do mnie? - myślała półgłosem, idąc do modniarki i zrywając w przechodzie zieloną gałązkę paproci z wazonu. - Piękny jest i tak inny jak wszyscy. Ten chyba nie będzie zebrał miłości i prawił komplementów, czegoż chce zatem?

Henia nie przypuszczała, żeby można było czegoś innego żądać od niej. Była roztargniona przez wieczór cały i dzień następny, jakaś niespokojna, zamyślona chwilami, to znów nienaturalnie wesoła. Zapomniała zupełnie o figlach i swawoli, śpiewała dziwnie niedbale, wyglądała czegoś niecierpliwie.

To coś widocznie odnosiło się do wieczornej herbaty, bo dopiero wtedy odzyskała swój dawny humor. Ogień jasno palił się na kominku w malutkim buduarze, pieszcząc jej ożywioną twarzyczkę, czerwieniąc piękne rysy poważnego mężczyzny; dla reszty świata drzwi artystki były szczelnie zamknięte.

Chojecki przyszedł zdecydowany skończyć jak najprędzej tę delikatną sprawę, jakby przeczuwał, że przedłużanie tych wizyt, sam na sam, nie dopomoże projektom hrabianki P.

Trzeba było iść otwarcie do dzieła. Ona sama mu w tym dopomogła.

- Głowę sobie łamałam nad odgadnięciem przedmiotu owego ważnego interesu, który pana do mnie sprowadził - zaczęła żartobliwie.

- Sądzę, że on panią nie zadziwi - odparł szukając frazesów właściwych.

- Chodzi tu o przypomnienie pani pewnej obietnicy, danej mi przed czterema laty, gdyśmy oboje zawierali błazeńską ceremonię, mającą pani dać wolność, a mnie pieniądze. Byłem wówczas bardzo młody i bardzo nieszczęśliwy, niezdolny przewidzieć skutków tego aktu. Okoliczności się zmieniły. Chcę prosić panią o zwrócenie mi swobody.

Henia drgnęła jak zraniona. Chwilę była bez głosu, osłupiała nie rozumiejąc jasno.

- Wszak ja jej nie krępuję - rzekła wreszcie.

- Zapewne. Lecz bigamia jest wzbroniona, a ja chcę się żenić!

- Ach, tak.

To było wyraźne. Drugie, gwałtowniejsze drgnienie wstrząsnęło smukłą postacią. Zrozumiała.

On ciągnął dalej, rad, że ze wstępu wybrnął:

- Sądzę, że pani uzna za bardzo naturalną moją prośbę o rozwód, który przy istniejących okolicznościach będzie tylko urzędową formą, dogodną dla nas obojga, i nie wątpię, że się pani na to zgodzi, jak mi to było obiecanie przed czterema laty. Przy tym zwracam pani, jako dług, owe pięć tysięcy rubli, które wówczas uratowały mi więcej niż życie.

Wstała gwałtownie. W duszy jej działo się coś nieznanego. Drżąc całą, poczęła szybko chodzić po pokoju.

Młodzieniec nie spostrzegł tego ruchu, dobył pugilares z kieszeni i wyjął z

niego paczkę banknotów, które położył na stole.

Nagle stanęła przed nim. Uśmiech sfinksa miała na ustach, ale już panowała nad sobą.

- Zabierz pan te pieniądze. Chcę być wierzycielką pana i na rozwód się nie zgadzam.

Teraz on nie rozumiał.

- Pani się nie zgadza? Dlaczego? - spytał głucho.

- Bo mi się podoba mieć pana za męża i nie mam ochoty być stroną w rozwodowym procesie.

Krew zalała twarz młodego człowieka, gdzieś w głębi straszny gniew cichej wody poczynał wzbierać powoli.

- Sądzę, że pani żartuje. Powód podany jest żadnym; rozwód, o który proszą obie strony, nie daje pola do skandalicznego procesu.

- Bardzo być może, ale ja żadnego nie chcę, i pozwolenia na rozwód nie otrzyma pan ode mnie, bo... nie chcę.

- Zmusi mnie pani tedy do prośby jednostronnej do Rzymu! - zawołał gwałtownie, wstając także.

- Nie zmuszam pana do niczego. Proszę robić, co panu się podoba! Cha, cha! Alboż ja się czego boję?

Spojrzał na nią. Wyzywała go wzrokiem i postawą zuchwałego lekceważenia i ironii.

Szatan! pomyślał odwracając oczy ze wstrętem prawie.

- Nie grozę pani! - odparł. - Walczę o rzecz najdroższą dla człowieka, o wolność. Między mną a szczęściem może stoi pani. Jeżeli pani sądzi, że tamować szczęście człowieka jest rzeczą przyjemną i dobrą, ha, to się różnimy ogromnie w zdaniu. Pomimo to ja nie proszę i nie błagam, tylko pytam pani, czy to com słyszał, mam uważać za żart czy za prawdę?

- Za prawdę! - zawołała rozdrażniona, podniecona, uparta, z ogniem w oczach. - Na rozwód nie zezwolę, chyba mnie zmusi Rzym; swobody panu nie dam! Nie będzie pan pierwszym, który nie znajdzie szczęścia w życiu tam, gdzie by je mieć pragnął, i nie będzie ostatnim.

Dziki błysk wściekłości przeszedł przez oczy młodzieńca. Ścisnął nerwowo krzesło ręką, jakby się bał gwałtownego wybuchu. Zmiażdżyłby tak w tej chwili tę cudnie piękną kobietę.

- Nie znałem dotąd pani! - ozwał się ponuro. - Miałem za roztrzepane, ale dobre dziecko, za istotę ze słodkim sercem i łagodną, wesołą duszą. Jest pani złą, upartą, kapryśną i pustą! Dotąd była mi pani obojętna, teraz nienawidzę jej za szatańską złośliwość.

Zagryzł wargi do krwi, hamując potok słów. Sięgnął po kapelusz i znikł bez pożegnania, bez lepszego słowa, bez ukłonu nawet.

Kobieta osunęła się na fotel i ukryła twarz w dłonie. Pierwszy raz w życiu uczuła, co to jest, gdy serce boli i dusza płacze.

Tak niefortunnie skończyły się marzenia hrabianki P. i plany Chojeckiego o

domowym ognisku.

* * *

Staneła u szczytu sławy.

Rojenia najzuchwalsze Heni Dobrzyńskiej wyglądały po siedmiu latach jak dziecinna zabawka wobec tryumfów i podziwu świata całego. Pierwsze teatry Europy i Ameryki rozrywały ją sobie; rzucono jej pod nogi miliony i kwiaty, fortuny i serca.

O łaski, o miłość tej porywająco uroczej i pięknej kobiety zebrały koronowane głowy; młodzi magnaci aktorkę wprowadzić chcieli jako żonę do swych pałaców; tenorzy, z którymi śpiewała, szaleli za nią.

Czyż mogła żądać więcej?

Żądała zapewne, bo żadna najsztuczniejsza propozycja nie skusiła jej dotąd; bo nie chciała być ani kochanką, ani żoną, jakby serce jej dotąd było głazem bez szramy i skazy, wodną płaszczyzną bez fali. Głaz i woda byłyby przychylniejsze dla roju wielbicieli od serca tej kobiety. Tak, był to głaz, lecz naznaczony niczym nie startą literą, była to woda szemrząca cicho wiecznie jedno imię, wiecznie jedno pragnienie. Miłość zaczarowała raz na zawsze duszę artystki jak królową w baśni; spała dla całego świata i jeden był tylko człowiek czarodziej, który czar mógł zerwać, i ten ją nienawidził...

Dziwna natura człowieka, nigdy nie rada z tego, co ma, wiecznie buntownicza, niestała, zmienna.

Heni Dobrzyńskiej fortuna wysłuchiwała wszystkich żądań, a ona już je rzucać była gotowa, w zamian za odrobinę miłości niekochającego człowieka.

Trzy lata ostatnie, spędzone w wirze powodzeń i chwały, wiekami były. Czczność, pustka i szych tego życia napępiały jej duszę ogromną tęsknotą za czymś innym. Dawny spryt, dowcip, swoboda pozostały na pozór niezmiennie, tylko już figłów nie płała i nie bawiła jej peruka dyrektora.

Talent jej rósł pomimo to. Morskie kąpiele, górskie wycieczki przez parę letnich miesięcy dźwigały jej siły fizyczne i za nadejściem sezonu stawiała znowu na scenie, zda się piękniejsza za każdym razem; śmiała się, kochała, oszukiwała, konała, spiskowała, a wróciwszy za kulisy żartowała z gronem aktorek w swym saloniku.

Ze strojem teatralnym i klejnotami zrzucała sztukę z siebie: sama, w mieszkaniu kochała tylko. Wówczas pamięć przywodziła jej przeszłość przed oczy; egzystencję uczennicy konserwatorium, stryja emeryta, redakcję "Gazety", kościółek św. Zofii i tego bezwąsego wyrostka o posepnej twarzy. Słyszała wyraźnie żartobliwy głos wuja wołający "Kwaśne wino!", czuła na swych ustach zimny, przelotny pocałunek spieczonych warg swego męża.

Tak, był jej mężem i jak fatum stanął na drodze, by wszystkie marzenia i projekty, co ją uszczęśliwiać miały, w proch obrócić.

Dlaczego właśnie on zagarnął jej duszę, nie prosząc? Dlaczego nie żaden z

tych, co ją tak kochali? Dlaczego przez niego cierpieć musiała?

Pewnego dnia znalazła odpowiedź na to pytanie! Sumienie ozwało się, że ona go nie kochała prawdziwie, bo przez egoizm i zazdrość złamała mu życie, odmawiając rozwodu, którego żądał przed laty.

Życie za życie, ból za ból! Sumienie miało słuszość. Aż raz w Wiedniu, już pod koniec sezonu, przechodząc ze swego buduaru w czasie antraktu, usłyszała dobrze znane sobie nazwisko. Wymówił je jakiś młody człowiek, opowiadając coś kolegom. Zatrzymała się tamując oddech. Panicze nie widzieli jej za kulisami.

- Mówię wam, że ten człowiek dojdzie do kolosalnego majątku, świeżo kupił dobra Bukowo w Czortkowskiem. Ma dwie cukrownie, browar z milionowym obrotem i trzy dobra urządzone jak angielskie fermy. Głowa, powiadam, kapitalna!

- Skądże się on tu wziął w Wiedniu?

- Wybrał go okręg na posła. Dziś, spotkawszy mnie, skarżył się, że umiera z nudów.

- A to oryginał, a teatr?

- Proponowałem, ale odmówił twierdząc, że to go denerwuje.

- Komedia! A to unikat dopiero! Pokaż mu Harriet, cela le degourdira! (*fr. to go odpreży*)

"Rozdrętwienie" Tytusa Chojeckiego przemknęło obok młodych ludzi, szeleszcząc jedwabiami Walentyny z "Hugenotów".

Młódz pociągnęła za nią jak honorowa falanga. Nie wiadomo, jaką siłą zdobyła się na uśmiech dla nich.

- Dites donc - zagadnęła niedbale - podsłuchałam panów rozmowę zza kulis... *gui donc en est le heros?* (*fr. Proszę więc powiedzieć, o kim była mowa*)

- Un certain Titus Chojecki, qui dit n'etre pas curieux de vous voir (*fr. Niejaki T. C., który nie chce pani zobaczyć*).

- Doprawdy! Na niewidziane lękam się tego odludka. Hrabio, prowadź go jutro na "Aidę".

- Trudne zadanie - westchnął hrabia.

- Tym lepiej, panowie, kto mi tego zuchwalca sprowadzi tu, do mego królestwa, temu ofiaruję: Une coupe en or cisele cisele!... (*fr. Złoty, rżnięty puchar*)

Cudownie wykonany trel zakończył propozycję. Tysiące dwuznaczników wirowało w myśli młodzieży na temat owego pucharu króla z Thule.

Falanga rozpierzchła się na wsze strony jak zgraja ogarów w pogoń za jeleniem, zachęcona tajemniczą nagrodą.

Trzy dni minęło. Co wieczór czarne aksamitne oczy primadonny obiegały salę, szukając jednej postaci, co dzień na próżno.

Amatorowie królewskiej czary nie dawali znaku życia, obcy ludzie zasypywali artystkę kwiatami, obojętne dla niej dłonie biły frenetyczne brawo. Jego nie było.

Czwartego dnia afisze oznajmiły "Fausta" Gounoda. Kasa była w obłączeniu, bilety dochodziły bajecznych cen; dyrektor pył ścierał spod stópek Gretchen, gdy wysiadała z karety; tłum towarzyszył jej za kulisy.

Spóźniła się nieco, więc spiesznie zmieniła strój i pobięła na scenę. Grzmot oklasków powitał ją. Spojrzała na salę. Byłoż to przeczcucie czy wypadek?

Pierwsza twarz, która się wynurzyła wyraźnie z tego morza głów ludzkich, była jego.

Siedział sam w łoży pierwszego piętra i patrzył na nią.

Minutę nie czuła nic, nie słyszała żadnego głosu, tylko swe serce rozszalałe; oddech zamarł, zapomniała, gdzie była i co śpiewać miała.

Oklaski nieprzerwane, frenezja tłumy pozwoliły jej odzyskać przytomność. Złożyła ukłon królewski i śpiew się rozpoczął.

Byłże to ludzki śpiew? Byłaż to Harriet?

Nie, takiego głosu nie wydały dotąd nigdy jej piersi, dla ludzi tak dotąd nigdy nie śpiewała. Ona śpiewała nie dla świata, ona nie o roli myślała, nie głos to był, tylko jej serce całe i dusza, streszczone w cudnej melodii Gounoda. Tłum tamował oddech, pieśń rosła, rosła nad ściany opery, nad orkiestrę, nad chóry. Duch jej śpiewał własny, pierwszy w życiu hymn miłości. Jej oczy, ogni i łez pełne, utonęły w jednym miejscu sali.

Samotnik, który tam siedział, przysłonił twarz dłonią; przez palce, spod brwi patrzył na nią.

Co myślał w tej chwili, gdy najobojętniejszym brakło tchu, a grajkom z orkiestry mimo woli wysuwały się z rąk instrumenty?... On patrzył.

Pieśń rosła, potężniała, obejmując szalem, jak napój miłosny, pierś słuchaczy, teatr dyszał. Ze sceny rozlegał się duet Małgorzaty z Faustem i ostatnie słowa namiętnego, na nic niepomnego uczucia:

Je veux t'aimer et te cherir,

parle encore, je t'appartiens,
je t'adore: pour toi je voux
mourir pour toi je voux
mourir!

I nagle sopran umilkł! Gretchen osunęła się bez sił w objęciach Fausta. Powstał ruch i zamieszanie na scenie, opuszczono śmiesznie kurtynę. W parę minut potem dyrektor ukazał się na scenie z oznajmieniem, że z powodu niezdrovia primadonny opera będzie dziś skończona.

Samotnika w łoży już nie było. Gdy po długim omdleniu artystka otworzyła oczy, ujrzała się w swoim saloniku i zamiast Chojeckiego, spostrzegła nad sobą uśmiechniętą twarz doktora.

- Przeciągnęliśmy strunę - ozwał się wesoło medyk, stary, bardzo rozumny i przebiegły Niemiec, nie przestając maczać jej skroni jakimś gryzącym płynem.
- Za piękny był dziś śpiew dla naszego padołu; można takim głosem do wariacji wpędzić każdego, choćby nawet był starym doktorem. Nasza Gretchen srodze

zdenewrowana i, co gorsza i czego mi dotąd nie mówiono (nie wiem dlaczego), cierpi na serce. Ostrożnie z tym! Jeszcze jeden taki "Faust", a można go skończyć Aniołem Stróżem, jak to się w kościele mówi. No cóż, jakże się czujemy? Mam wielką pokusę zawiadomić o tym serduszką cierpiącym Stefana Batyaniego, który za drzwiami czeka, klnąc się, że zginie, a dziś jeszcze musi być w saloniku. Ten narwaniec dowodzi, że należy mu się od Gretchen cyzelowany puchar króla z Thule.

Oprzytomniała zupełnie.

- Dziękuję, doktorze, jestem zdrowa i jutro dokończę wam "Fausta". Ten nieznośny upał w sali. Ktoś puka! Otwórz, Augusto!

Wstała trochę blada, ale już spokojna i z uśmiechem powitała grono młodzieży z zawiadaczającym Węgrem na czele.

- Rozkaz wypełniony! Z niesłychanym trudem namówiłem Polaka - krzyczał już u progu. - Zaświadczą koledzy, że był i że ja go namówiłem.

- Wierzę na słowo - zaśmiała się wesoło - ale to nie dość dla zdobycia pucharu. Przyprowadź go, hrabio, tu, do mego buduaru.

- Jak to, więc cały mój kłopot na nic?

- Owszem. Proszę mi dać rękę i odprowadzić do karety.

Była to rzadka łaska, zwykle funkcję tę spełniał dyrektor.

Batyan przycisnął gorąco do piersi drobną rączkę i dumny, jakby niósł koronę św. Stefana, powiodł zmęczoną, osłabłą artystkę do powozu.

Patrzano za nim z zawiścią. Pod portykiem, gdy wsiadała do karety, a Węgier całował rączkę na pożegnanie, patrzył też ukryty za filarem samotnik z łoża i nie wiadomo, co myślał.

Dla nie wtajemniczonych profanów ten pyszny huzar otulający cudnie piękną kobietę, całujący rączkę tak długo, wyglądał bardzo na kochanka.

* * *

- Eh, bien, votre coupe en or cisele, vous y renoncez, comte? (fr. Więc pan, hrabio, rezygnuje ze złotego pucharu?)

- Dame, que faire! (fr. Pani, co robić!) Użyłem daremnie wszelkich możliwych sposobów, lecz żadnego innego skutku, jak przekonanie, że hiszpańskie muły to ideał uległości wobec Polaków.

Artystka zaśmiała się krótko. Śpiewała "Mignon" tego wieczora i ślicznie wyglądała w swym cygańskim stroju.

- Wymogłem to tylko, że przyszedł do teatru. Jutro odjeżdża do Galicji, zapewne chce ode mnie uciec.

- Jutro odjeżdża! Co za szkoda! Chciałabym bardzo zajrzeć w oczy temu panu. Dites donc, comte, votre Tzigane est la? (fr. Proszę powiedzieć, hrabio, czy pański Cygan jest tam?)

- Na rozkazy pani.

- Teraz ostatnia próba. Ja sama go zaproszę.

- Ba! Tego honoru nikt dotąd nie dostąpił! Naturalnie, że przyjdzie.
- Qui lo sa? Appelez votre Tzigane! (*fr. Któż to wie? Wezwijcie pańskiego Cygana!*)

Wzięła kartkę wizytową, ołówek podał jej Batyani, nagryzmoła naprędce następującą misywę:

"Proszę w antrakcie, jeśli to niezbyt przykre, stawić się u mnie za kulisami. Mam rachunki z panem et une proposition ~a faire (*fr. i pewną propozycję do złożenia*). Czekam. H." - ołówek stanął na chwilę - "Chojecka" - dodała.

Śniady lokaj Batyaniego wziął kartkę i wyszedł.

Rozległ się pierwszy akord orkiestry, artystka śpiesznie poszła na scenę.

Śpiewała melancholijnie, nie spuszczać oka z łoży; widziała wyraźnie dyskretne wejście Cygana. Chojecki obojętnie spojrzął na podany papier, sądził zapewne, że pochodzi od znajomego. Potem zmarszczył brwi i długo czytał ze spuszczoną głową.

Lokaj czekał odpowiedzi, otrzymał skinienie tylko i wyszedł. Chojecki pozostał z biletem w ręku, zamyślony, wreszcie wsunął go do kieszeni i podniósł oczy na scenę. Patrzył uparcie na nią, czuła to przez cały akt, przy końcu zniknął z łoży. Odetchnęła pewna wygranej.

Istotnie, pierwszą osobą spotkaną po zejściu ze sceny był on. Zbliżył się i ukłonił głęboko, nie podając ręki.

- Pani kazała mi przyjść - ozwał się po polsku.

- Czemu pan tego bez rozkazu nie uczynił!

- O, wszak zostaje dotąd w posiadaniu pani pewien papier, w którym to mi jest srodze zabronione.

- Doprawdy, pan jeszcze pamięta tę dziecinadę?

- Nie zapominam nigdy, nic - wyrzekł z naciskiem.

Wzdrygnęła się myśląc o scenie przed trzema laty.

- Czy to reguła? - rzekła cicho. - Czym można kupić zapomnienie i przebaczenie pana?

Zbladł, jakby go zraniła śmiertelnie.

- Sprzedałem się raz tylko w życiu. Czy pani mi to chciała przypomnieć? - rzekł ponuro.

- Nie, przeciwnie. Może chciałam coś jeszcze kupić u pana.

- Nie posiadam już nic.

- Kto wie. Ale nie mamy czasu na dłuższą rozmowę wobec tylu osób. Pan mnie kompromituje - dodała śmiejąc się. - Czy mogę prosić pana o coś?

- O wszystko. Jestem na rozkazy.

- To trochę za nieoględnie powiedziane. Mogę nadużyć.

- Pas de danger! (*fr. Nie ma obawy!*) Nie noszę węgierskiego nazwiska. Żądania pani, zwrócone do mnie, są zapewne pobieżne i bardzo drobne. Czy potrzebuje pani paszportu?

- Nie, czegoś więcej, ale o tym później. Może żądanie ogranicza się, by pan

był dziś po teatrze na rogu placu, koło pomnika. Compris?

- Qui, madame.

Tak się odbyła ich pierwsza rozmowa. Chojecki usunął się z ukłonem, poszedł z resztą towarzystwa do jej buduaru, rozmawiał swobodnie ze znajomymi.

Jakiś udekorowany jegomość, nie zważając na niestosowność miejsca, wszczął z nim długą dysputę o ostatniej sesji Izby; Harriet, w doskonałym humorze, podniecona, szczęśliwa, żartowała z Batyanim.

Nagle zrobiło jej się jasno na duszy. Frazes Chojeckiego o węgierskim nazwisku był iskrą oświecającą rzecz wcale nową. Czuła zazdrość w tej wzmiance i z radości nad tym odkryciem gotowa była uściskać Węgra.

Od czasu do czasu, nieznacznie, magnetyzmem pociągane oczy jej szły w stronę, gdzie on stał, i za każdym razem Chojecki podnosił też wzrok i spuszczał zaraz głowę, jakby złapany na gorącym uczynku kradzieży. W jego głowie minowało pytanie, na co i po co miał dziś czekać na rogu placu? Co go spotkać miało od kobiety, którą postanowił całe życie nienawidzić.

Wszak to sobie uroczyście ślubował przed trzema laty.

- Pan jedzie jutro? - zabrzmiał głos artystki.

Ocknął się z zadumy. Był z nią sam na sam w saloniku. Falanga młodzieży wróciła już do sali, bo właśnie rozpoczynano akt czwarty.

- Zapewne - odparł.

- Zapewne nie - poprawiła z dziwnie jasnym uśmiechem.

- Dlaczego?

- Bo będzie pan miał coś lepszego do roboty.

- Ha, to zostanę. Nikt mię w domu nie czeka, a stryj, bardzo cieplarnią zajęty, może o mnie już zapomniał.

- Pan to mówi jakby z żalem. Kto wie, czy pan jutro będzie o stryju pamiętał.

- Och - zawołał - to bardzo wątpliwe.

Zaśmiała się i podała mu rączkę.

- Allez vous en! (*fr. Niech pan już idzie!*) Spóźnię się. Już leci dyrektor, posądzi mnie o flirt z panem. Au revoir.

Posłała mu z daleka końcem palców powietrzny pocałunek i znikła.

Nie miał ochoty wracać do sali; poszedł prosto na ulicę, na oznaczony róg placu i pomimo łagodnego powietrza od czasu do czasu drżał nerwowo... Czy powtarzał ślub nienawiści... Mocno wątpimy.

W godzinę potem karetka primadonny przystanęła o parę kroków od niego; drobna rączka spuściła szkło, w otworze ukazała się ciemnowłosa główka.

Czekała na niego widocznie, bo gdy się zbliżył, cofnęła się w głąb, lokaj otworzył drzwiczki.

Chojecki na to milczące zaproszenie wsiadł, oszołomiony kompletnie; zatrzaśnięto drzwiczki, powóz ruszył.

- Czy pani tego żądała ode mnie? - spytał zdobywając się na uśmiech.

- Tylko. I takem się śpieszyła ze strachu, by pan mi nie zdezerterował z posterunku, żem nawet nie zmieniła kostiumu. Jedziesz pan z Mignon we własnej osobie. O, jakżem rada, że pojutrze koniec mojej scenicznej niewoli na ten rok. Znudzona jestem ostatecznie. Chcę zarzucić sztukę.

- Czy pani sądzi, że ktokolwiek temu uwierzy?

- Uwierzą, ujrawszy fakt dokonany. Miałam do zbytku zaproszeń na następny sezon, odmówiłam wszystkim. Chcę wypocząć. Cyganeria mi zbrzydła, powodzenie spowszedniało. Chcę wyjść za mąż, kochać kogoś, mieć dom i serce czyjeś na własność. Oto powód mojej prośby dzisiejszej. Zbłądziłam ciężko, odmawiając niegdyś panu rozwodu, dziś przychodzę z podobnym żądaniem. Może za późno się odzywam, lecz sądzę, że swoboda odzyskana jest zawsze rozkoszą.

Zapanowało milczenie. Oboje nie widzieli swych twarzy, lecz Harriet nie zdziwiła się bynajmniej, że głos mu zadrżał, gdy się ozwał po chwili,

- Zdaje mi się, że niewola pani ciężką nie była. Wykonałem ściśle zobowiązanie to nieszczęśne. Szaleni byliśmy, zawierając ten związek, popełniliśmy straszną pomyłkę, za którą pokutować trzeba. Zatem teraz pani życzy sobie rozwodu?... rozwodu? - powtórzył bezdźwięcznie, myśląc o czymś innym.

- Tak - odparła niedbale - życie obecne ciąży mi niestęchanie. Jestem kochaną, chcę szczęścia, miłości.

- Tak, szczęścia, miłości! I jam tego pragnął, i prosił, by mi na nie pozwolono. Otrzymałem odmowę. Pani mi nie dała być szczęśliwym... dlaczego? Dla kaprysu, sądzę, w przystępie złego humoru! Przysiągłem zemścić się! Rozwodu nie otrzyma pani ode mnie. Dość ustępstw dla marnej zabawki! Odtąd znajdzie mnie pani wszędzie na swej drodze... i biada kochankowi i gachom! Mam prawa i używać ich będę!

- A pański cyrograf? - wtrąciła niby obrażona.

- Nie uznaję teraz żadnego.

- Cóż ja zrobię w takim razie? Bez rozwodu, z mężem, który mi ślubował zemstę i nienawiść! Podział nierówny. Ja ani chciałam się mścić na panu, ani go nienawidzić. Nie czyniłam panu nigdy wyrzutów, nie groziłam życiu pańskich kochanek, nie rościłam żadnych pretensji. Choć mam ciężką na myśli.

- Na przykład? O żadnej nie wiem.

- Wierzę, pan widzi tylko swój ból, pomstę i nienawiść. Zatem to ostatnie pana słowo? Nie dostanę rozwodu?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo go dać nie chcę.

- Ce n'est pas une raison (*fr.* To żaden powód).

- Owszem! Racja ta sama, którą pani miała przed trzema laty.

- Ja? Vous revez il me semble (*fr.* Zdaje mi się, że pan śni). Moja racja! Pan sądzi, że ja bym ją wyznała?

- Ach, więc to nie był kaprys tylko? - spytał powoli podnosząc wzrok na

nią.

Światło latarni ulicznej oświecało jej twarz. Wyraz bezmiernego rozdenerwowania osiadł na niej. Siłą zdobyty uśmiech rozchylił lekko koralowe usta; patrzyła przed siebie na ulicę, milczała.

Już nie mógł oczu od niej oderwać.

- To nie był kaprys tylko? - powtórzył. - I ja się kaprysem nie rządę! Rozvodu pani nie dam, bo... nie chcę, by cię ktokolwiek swoją nazwał, byś komu rozdawała uśmiechy i spojrzenia, by ktoś miał prawo do ciebie. Nie, nie, rozvodu ci nie dam, dopóki ja żyję, szczęścia, które się mnie należało, nikt mieć nie będzie.

- Cóż panu po tym szczęściu? Ono nie nosi dla pana mojego imienia.

- Kto pani to mówił? - mruknął niewyraźnie.

Udała, że nie słyszy.

- Porzucając scenę, ja chcę mieć dom, spokój, życie rodzinne. Jeśli mnie pan nie uwolni, będę tułaczem bez kąta własnego dla czyjejś fantazji. Czy to słuszne?

- Ma pani mój dom.

- Dom człowieka, który mi pomstę zaprzysiągł.

- Tak, i szczęście pani nie nosi mego imienia, to najważniejsze.

- Kto to panu mówił? - powtórzyła jego frazes, równie niewyraźnie.

- Pani mi to sama powiedziała.

- Kiedy? Czy śpiewając "Fausta" przed tygodniem? Szczęście moje to był niewątpliwie Aldini, jemu dedykowałam miłość i szal namiętny, ponieważ w jego objęciu zemdlałam wreszcie, nie mając sił żyć i kochać więcej.

Głos jej załamał się, pochyliła główkę, zamknęła oczy.

Uczuła gorące wargi na swej spuszczonej ręce, cofnęła ją szybko. Wówczas silne dłonie ujęły jej obie rączki, które znalazły się na ramionach Chojeckiego, potem zacisnęły się wokół jego szyi.

Warkocze na w pół rozpuszczone, przeszłe perfumami, pokryły jego piersi i na nich spoczęła zmęczona główka.

Przygarnął ją ku sobie, pochylił się i całował rozszalały usta i oczy tulące się do niego kobiety.

Nie broniła pieszczoty, miłość kupiła trzema latami cierpienia, oddawała mu ją całą, bez rachunku i miary, jak Gretchen Faustowi.

Płaciła mu po królewsku za tyle lat pustego, samotnego życia, płaciła za owe pięć tysięcy rubli rzucone jak żebrakowi, płaciła za ową scenę przed trzema laty, dawała mu, co chciał.

Dla niego jednego pałały usta zimne dla reszty świata, dla niego tylko było jednym bezmiernym uczuciem serce w piersi. Podawała mu czarę miłosnego napoju - on pił, pewien, że jej przed nim nikt ustami nie dotknął, pewien swych praw, swego szczęścia, tuląc namiętnie skarb swój w ramionach. On wygrał tyle pożądany przez Batyaniego cyzelowany puchar króla z Thule.

* * *

Nie było pod słońcem szczęśliwszego człowieka jak stary emeryt w cieplarni nadolskiej. W pantoflach i białym fartuchu, z czarną mycką na łysej głowie, w okularach na zatabaczonym nosie dreptał starowina wśród zieleni, gderząc bezzębnymi ustami na różne robaki i glisty, wśród których znajdował się też dla kompletu niedbały urwis ogrodniczek.

Wiosenne słońce budziło śpiochów do życia. Różnobarwne hiacynty i śnieżne tuberozy napełniały wilgotną atmosferę cieplarni upajającą wonią. Ani śladu frytury i asfaltu. Emeryt uśmiechał się, stając w ekstazie to przed jednym wazonem, to przed drugim.

Znalazła się jakaś drobna szkoda; starowina wlepił nos w ten punkt i myślał, i tak był pochłonięty, że nie posłyszał kroków na schodach z salonu, i dopiero wesole pozdrowienie obudziło go z zadumy.

- Jak się mają stryj i kwiaty?

Właściciel Nadolska stał przed nim jakiś dziwnie rozjaśniony i promieniejący. Takim go nigdy nie widział starowina, więc uszczęśliwiony objął za głowę i pocałował w czoło.

- Kwiaty prosperują, a i ja niezgorzej. Od tygodnia czekamy na ciebie, twoi oficjaliści głowę mi durzą, a ja bardzo wyglądam tych nakrapianych kamelii. Przywiozłeś je?

- I jakże! I nie tylko kamelie. Przywiozłem stryjowi synowicę z Wiednia

- Co!

- No tak, niby, czyli żonę dla siebie.

- Cóż to nowego? - zawołał emeryt osłupiały.

- Nic nowego, stryju. Stara, nieznośna znajomość! - zabrzmiał za nim srebrny głosik.

Obejrzał się. Zza liści olbrzymiej paproci wyjrzała naprzód śliczna twarzyczka, potem smukła postać, i już była u boku, całując serdecznie pomarszczoną dłoń.

- Hej, co to takiego! Co to znaczy? - wołał nie mogąc przyjść do siebie.

- To znaczy, stryju, że ci sądzono nie pozbyć się mnie nigdy! - odparła śmiejąc się. - Chyba mnie teraz obaj wspólnymi siłami wypędzicie.

- Ależ to historia! Co też do ciebie przystąpiło, Tytanku? - zawołał desperacko emeryt. - Chybaś zapomniał o naszych kwiatkach? Wszakże z nich ani jednego nie zostanie w całości, gdy ta koza tu tydzień pobędzie! Ślicznieś się spisał! Było po co jeździć do Wiednia, żeby sobie takiej biedy napytać. I ty może myślisz, że z tego będzie gospodyni na tyle majątków, że to potrafi się przyzwoicie pokazać w towarzystwie? Błaźnica i koniec. Przez sznur jej skakać, z pudłem się bawić, a nie żoną ci być. Albo ona rozumie nawet, co to znaczy?

Henia przed nawałnicą schroniła się pod skrzydła Chojeckiego i podniosła ku niemu swe cudne oczy z prośbą, by zaprzeczył. Objął ją ramionami i przytulił do piersi, uśmiechając się do zaperzonego stryja.

- Cóż robić, stryju - odparł wesoło - kiedy dla mnie nie ma miłszej nad to dziecko. Zobaczysz stryju, że ją pokochasz, poznawszy. To już nie swawolna dziewczynka. Potrafi ona wszystko, co zechce. Kwiatki nasze bezpieczne będą, i nasz dom możemy jej powierzyć z całą wiarą. Ja za nią ręczę!

Emeryt na to przemożne wstawienie zamilkł zbity z tropu. Mruczał tylko i ukosem patrzył na najbliższe wazonu obok Heni, drżąc o ich całość.

- A moje kamelie? - zagadnął przypominając sobie rzecz o wiele ważniejszą jak żona Chojeckiego.

- Oto właśnie je niosą - odparł młodzieniec wskazując na ogrodników wnoszących paki.

- A ładne? - badał stary oblizując się łakomie.

- Nie wiem stryju, Henia je wybierała.

Emeryt skrzywił się litośnie, mało wierząc w możliwość dobrego wyboru. Poszedł jednak w tamtą stronę i po chwili zapomniał zupełnie o nowym nabytku przybyłym z Wiednia.

Oboje patrzyli za nim czas jakiś.

- Może on prawdę mówił, że ja nie potrafię wydołać obowiązkom

- szepnęła - ale ty mnie ich nauczysz, jakieś już tylu rzeczy nauczyłeś, nieprawdaż?

Uśmiechnął się tylko, dotykając ustami jej rozchyloch usteczek.

- Zobaczysz, że za miesiąc on sam ograbi oranżerię na bukiet dla ciebie

- odparł pociągając ją w głąb.

U schodów przystanął.

- Jeszcze prawie nie byłaś w moim domu, trzeba, żebyś doń zrobiła wjazd tryumfalny, jak do królestwa swego.

Zanim się obejrzała, wziął ją w ramiona i poniósł na górę. Srebrny jej śmiech zwrócił uwagę emeryta. Pokiwał głową, lecz już znacznie złagodzony po obejrzeniu kamelii.

- Otóż to! Tego tylko brakło! Tytus kark skręci, dźwigając błaznicę po schodach. Chociaż to takie lekkie... nie więcej chyba waży jak wazon rododendronu. Hm, kamelie superior. Żeby nie to, że mój chłopiec nigdy nie kłamie, nie uwierzyłbym, że to ona wybierała.

* * *

W miesiąc potem, wczesnym rankiem emeryt w negliżu plątał się po oranżerii.

Był mocno zajęty. W jednej ręce trzymał nóż, w drugiej pęk różnokolorowych kwiatów. Chodził od wazonu do wazonu, ścinał ich coraz więcej, przy tym monologował pod nosem:

- Co prawda, to prawda, dziewczyna się zreformowała. Biega po folwarku, jak każda szlachcianka, gospodarzy!... He, ten amarylis można wziąć.

Przystanął, dołączył kwiat do reszty.

- Pomaga Tytusowi całym sercem; stara się wszystko zrozumieć, pojąć, nauczyć się. Wczoraj robiła rachunki z rządcą Zalesiniec. I ten storczyk dobry. Nowy kwiat padł pod nożem.

- Już nie tłucze klawikordu, a jak zaśpiewa... ha, czasem znowu wcale nieźle. Okruchów nie rozrzuca po podłodze. Nauczyła się chodzić inaczej... Ot, wezmę tę primulę.

Primula przeszła z wazonu do ręki.

- Przy niej Tytus jakiś inny. Ani razu od miesiąca się nie zasępił. To jednak niegorsza rzecz, kobieta w domu. No, a ta cyneraria ujdzie?

Ściął znowu kwiat.

- I dotąd mi żadnej szkody nie zrobiła w oranżerii, nic nie poruszyła. Raz pyta, czy jej pozwolę wziąć miesięczną różyczkę do włosów. Czemu nie, owszem. Już to umie spojrzeć słodko tak, że dałbym jej nawet cały wazon!... Zda się z biedy ten pąsowy eryxenum, o, jaki twardy.

Złamał go jednak.

- Ot, sam nie wiem. Może Tytanek dobrze zrobił, że ją wyłowił. Zawsze to niby weselej w domu, jak się tam coś płacze w sukience. Kiedy jest, to niech sobie już będzie! Ha, dosyć kwiatów. Cóż robić, zaniosę jej bukiet do pokoju czy co!

Niech się ucieszy zapachem.

Koniec